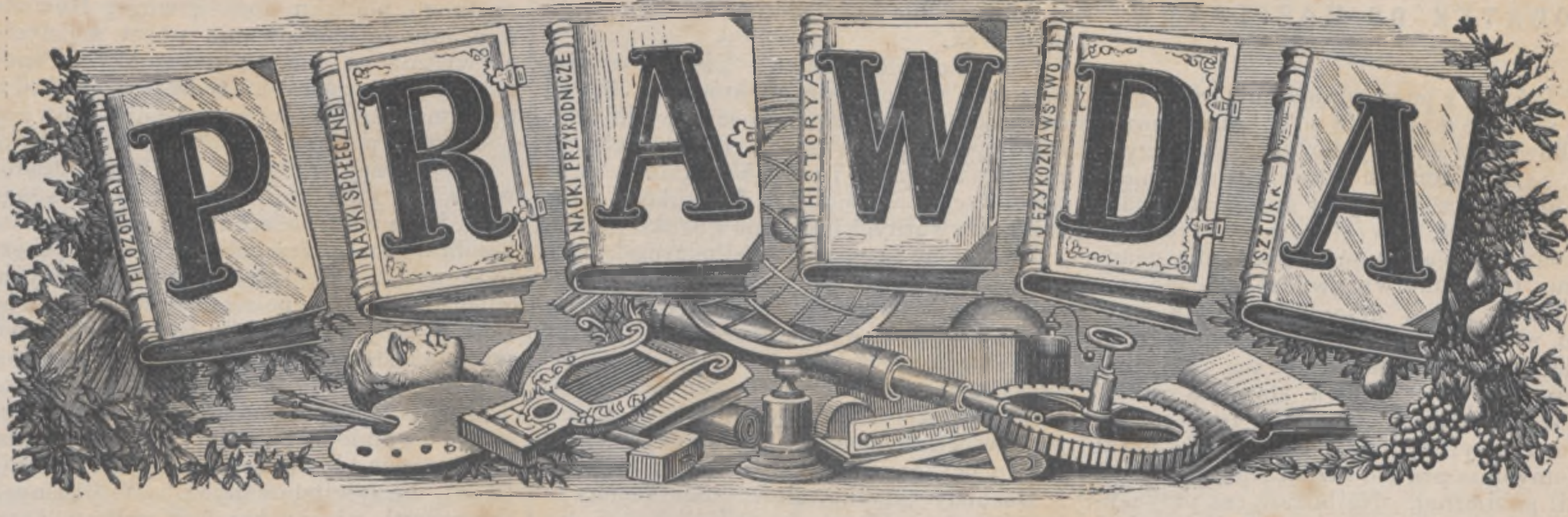
№ 15. Warszawa, dnia 11 Kwietnia (30 Marca) 1885 r. Rok V.




TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres: Zielna Nr. 7-a.**

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.





## Święto dyktatora.

„Żyjemy pod straszną dyktaturą, ale nam z nią dobrze" — oto wyznanie polityczne; „ów dyktator przewyższa wszystkich ludzi, którzy mieli prawo rozkazywać" — oto jest wyznanie uczuciowe niemca, święcącego uroczyście 70-letnią rocznicę urodzin Bismarka.

Byłoby śmiesznem obniżać wartość twórcy zjednoczenia Niemiec i najprzebieglejszego dziś dyplomaty; ale ta pokora, bezwzględne uwielbienie, fanatyczna cześć, te hołdy, jakie mu składają rodacy, przestały być już nabożeństwem do człowieka i są nabożeństwem do półboga. Patryota niemiecki — stojący nisko czy wysoko — gdy zmierzy się z Bismarkiem, taką uczuwa własną małość i nicość, a jego wielkość i siłę, że nie może w sobie dostrzedz innego z nim pokrewieństwa nad to, że obaj należą do — ssących.

Chyba też nigdy człowiek nie wzniósł się wyżej własną jedynie mocą. Bismark dziś — to pogromca Europy, to władca świata, którego uśmiech lub zmarszczenie brwi rozwesela lub przeraża rządy, zbogaca lub rujnuje graczów na giełdach, to potężny pan przemysłu i handlu, to mocarz, który w fałdach swego płaszcza trzyma pokój i wojnę, to słońce, około którego obracają się wszystkie planety polityczne. Dzisiejszy system Europy jest systemem Bismarko-centrycznym.

Wyrazili to z dumą, domieszawszy do niej własną pokorę, niemcy w obchodzie jubileuszowym. Ich adresy, artykuły, pieśni brzmiały pychą w stosunku do zagranicy i poddaństwem w stosunku do bohatera. A miałżeby naród być mniej szczodrym w hołdach, kiedy jego urzędowy władca ukorzył się przed wielkim kanclerzem? Nigdy monarcha nie napisał takiego listu do swego ministra, jak cesarz Wilhelm. „Wiesz, kochany mój książe — pisze on — jaką pełną ufność, jakie szczere przywiązanie, jaką gorącą wdzięczność zawsze dla Ciebie żywić będę. Sądzę, że ten obraz (ogłoszenie cesarstwa niemieckiego w Wersalu) uprzytomni odległym potomkom Twoim, że cesarz i król wraz ze swym domem dobrze wiedział, co Tobie zawdzięczamy." Czy naród, słysząc to wyznanie, choćby o zasługach Bismarka zapomniał, może nie padać przed nim na kolana? I pada, tarzając się w prochu i — w braku lepszego pomysłu — rozszerzając dobra jubilata do 4 mil kwadratowych osobistego majątku. Hołd prawdziwie... pruski.

Ażeby zrozumieć wielkość Bismarka trzeba koniecznie wleźć w skórę niemca, odczuć wszystkie dobrodziejstwa złupienia Francyi, zdobycia dwu prowincyi z dodatkiem pięciu miliardów franków, zgromienia Austryi i zjednoczenia synów Germanii. Po za tą pracą Herkulesową pozostaje on tylko olbrzymim jako postrach, jako wreszcie twórca wirów ekonomicznych. Z pierwszej grupy jego czynów spłynęły dodatnie skutki tylko dla niemców, z drugiej — dla nikogo. *Fremdenblatt* nazwał Bismarka „wielkim charakterem." Trudno o kłamliwszą grzeczność. Człowiek, który — jak radził Heine — przebacza przeciwnikom z warunkiem, ażeby wprzód zostali powieszeni, który pozwala swoje zasługi zmieniać na pieniądze, który dla jednego tylko pierwiastku wyznaje szacunek — dla siły fizycznej, który więcej ceni zwycięzkiego Mahdiego, niż swych poddanych, który z dziwną zaciekłością tępi każdy żywioł obcy w łonie swego państwa, który gwałt podnosi jawnie do godności najwyższego prawa — taki człowiek „wielkim charakterem" nie jest i oprócz śladów strasznego zniszczenia i przykrych wspomnień nic światu po sobie nie zostawi. To nie taka genialna, a zarazem wysoce szlachetna i uczciwa postać, jak Cavour, to raczej Napoleon, który nadaje się do legendy, ale nie do czci potomnych.

Słaby też za granicą odgłos święta kanclerskiego w Niemczech był wymownym dowodem, że bohater budzi w innych narodach trwogę, ale nie wywołuje w nich najlżejszej sympatyi, Przed Napoleonem może jeszcze bardziej drżała Europa, a jednakże połączonemi siłami wyjarzmiła się z pod jego tyranii. Wobec Bismarka nikt nie śmie utworzyć takiego przymierza — nikt nie usiłuje zostać Blücherem. Czyż obecny dyktator nie doczeka się swego Waterloo? Czy dokończy życia na szczycie sławy i potęgi? Byłoby to smutną pamiątką historyi. W rządach i narodach powinien zapalić się ogień niezawisłości od jednego państwa, a w niem od jednego człowieka.

Daremna to wszakże pobudka, którą żaden Tyrteusz nie rozgrzałby nikogo. Nowożytna Sparta utrzyma swe gnębiące zwierzchnictwo, dopóki żyje jej Lykurg. Można tylko wraz z narodem niemieckim uczuwać radość, że już przeżył lat 70 i że mniej ma drogi przed, niż za sobą. Zwłaszcza zaś ludy słowiańskie cieszą się z tej późnej jego starości, tem bardziej, że mimo wszelkich pokuszeń na ich byt swego Omora przeżyją.

## PODATEK OD KAPITAŁÓW.

W jednym z poprzednich numerów *Prawdy*, mówiąc o podatku od przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, zauważyliśmy, że ministeryum skarbu rozumie nieuniknioną potrzebę zmiany systematu finansowego, jednak ze względów praktycznych nie odważa się na przekształcenie gruntowne, lecz tylko wprowadza reformę stopniowo, a raczej urzeczywistnia ją dorywczo, w szczegółach. Działalność ta przejawia się w dwóch kierunkach: z jednej strony władza skarbowa stara się usunąć najbardziej rażące anomalie istniejącego stanu rzeczy; z drugiej—uzupełnić braki jednomyślnie prawie zaznaczone w głosach opinii publicznej. Najbliższą zaś przyczyną ustanowienia nowego podatku jest groźba deficytu budżetowego, zmuszająca do wytężenia wszystkich sił płatniczych kraju. Wobec niej plany reform muszą być odłożone do lepszych czasów, z nowych zaś podatków wysuwają się na pierwszy plan nie te, które odpowiadają wymaganiom polityki ekonomicznej, lecz te, które obiecują największy dochód i najmniej kłopotów przy otrzymaniu jego. Interes skarbowy pełni w danym razie rolę siły wyższej, przed którą umilknąć musi wszelka opozycya, nawet najbardziej uzasadniona.

Nowy podatek jest dochodowym. W projekcie ogólnego podatku dochodowego postanowiono pobierać go: od kapitałów, od dochodów z handlu i przemysłu, z ziemi i nieruchomości i od dochodów z pracy osobistej. Ziemie i nieruchomości dźwigają znaczny ciężar fiskalny, jakkolwiek nie w ścisłej formie podatku dochodowego. Handel i przemysł płacić będą obecnie podatek procentowy i rozkładowy. Praca osobista dopiero po zniesieniu podusznego może być pociągniętą do opłat na rzecz skarbu. Przyszła więc teraz kolej na kapitały pieniężne. Takim sposobem podatek dochodowy częściowo został wprowadzony, z wyjątkiem wszakże najważniejszej rubryki, zależnej od zniesienia podusznego, odkładanego z obawy zbyt znacznego zmniejszenia dochodów państwowych. Obawy tej nie podziela Rada państwa, która już przy rozpoznaniu projektu podatku od przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych oświadczyła się ze jednoczesnem wprowadzeniem opłat od wszelkiego rodzaju dochodów.

Oświadczenie to wszakże nie przeszkodzi jej zatwierdzić nowego podatku, którego projekt ministeryum ogłosiło wcześniej w celu wysłuchania zdań i wprowadzenia poprawek.

Opłata od dochodów z kapitałów pieniężnych pobiera się w stosunku 5% od dochodów z papierów procentowych państwowych i od dochodów lokowanych na rachunek bieżący i innych wkładów procentowych, wniesionych do banków państwa, prywatnych i do domów bankierskich.

Zwolnione są procenty od pożyczek państwowych wyraźnie wyłączonych z opodatkowania, stosownie do warunków na jakich zostały zawarte; procenty od wkładów złożonych w kasach oszczędności, pożyczkowo - wkładowych i bankach wiejskich, wreszcie dochody od akcyj towarzystw przemysłowych i handlowych, jako już opodatkowane.

Dochody od kapitałów, należących do instytucyj naukowych, religijnych i dobroczynnych oraz do kas emerytalnych, podlegają opłacie na ogólnych zasadach, ale instytucyom powyższym służy prawo żądania zwrotu wniesionych opłat.

Potrzebę tej podwójnej manipulacyi trudno uzasadnić.

Opłata od dochodów z papierów państwowych pobierać się będzie bądź to przy przy wypłacie procentów, bądź przez odpowiednie strącanie kuponów.

Opłata od papierów procentowych wypuszczanych przez instytucye finansowe ogólne i prywatne ściąga się od całkowitej sumy peryodycznej wypłaty kuponów i premij, znajdujących się w obiegu papierów. Natomiast instytucyom wyżej wymienionym służy prawo potrącenia sobie od właścicieli procentów kwoty wniesionej do skarbu.

Zresztą szczegóły pobierania nowego podatku i prowadzenia właściwej rachunkowości nie są jeszcze opracowane i ostateczna ich redakcya nastąpi dopiero po porozumieniu się ministra finansów z kontrolerem państwa.

Projekt w pierwotnej swej formie uwzględnia tylko stosunki wspólne dla całego państwa, przy zastosowaniu jego do pojedynczych miejscowości nastąpić muszą pewne zmiany i uzupełnienia.

Najważniejszym argumentem na korzyść nowego podatku jest to, że bądź co bądź urzeczywistnia on myśl bardziej równomiernego i słusznego opodatkowania. że znosi przywilej niepłacenia przysługujący najzamożniejszej klasie ludności.

Ale w rzeczy samej nowy podatek zwiększa tylko sumę opłat wnoszonych na rzecz skarbu, nic zmniejszając bynajmniej ich ciężaru dla klas niezamożnych, co możliwem byłoby dopiero przy zaprowadzeniu ogólnego podatku dochodowego. Równomierność opodatkowania nieda się urzeczywistnić za pomocą szczegółowego opodatkowania różnych rodzajów dochodu. System luźnego wprowadzania nowych podatków pociąga za sobą również stratę czasu i pracy nietylko dla władz rządowych, ale i dla ludności. Ażeby ściągnąć 4½ miliona rubli podatku od przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, niezbędnem było utworzenie setek biur podatkowych, gubernialnych i powiatowych, zapewne i dla pobierania podatku od kapitałów potrzebne będą nowe organy władzy skarbowej.

Oprócz tego znaczna część papierów musi być zwolnioną od opłaty, co doprowadzi z pewnością do sztucznego podwyższenia kursu uprzywilejowanych. W obecnych warunkach niepodobna było uniknąć tego. Tymczasem przy wprowadzeniu ogólnego podatku dochodowego wyjątki nie miałyby żadnej racyi, bo każdy płaciłby podatek nie od tych lub owych papierów wartościowych, ale od całej sumy swego dochodu, otrzymywanego w jakikolwiek bądź sposób.

Wątpić jednak należy, czy te argumenty, które przemawiają na niekorzyść nowego podatku wpłyną w nieznacznym nawet stopniu na zmianę redakcyi projektu ministeryum skarbu. Rada państwa, jak to już zaznaczyliśmy, oświadczyła się przeciw cząstkowemu wprowadzaniu nowych podatków, ustąpiła jednak wobec naglącej potrzeby skarbu.

Ta *ultima ratio* uosobiona w postaci deficytu przemawia i obecnie. Ponieważ zasada zmian stopniowych został przyjęta, należy zgodzić się z tym faktem i uznać. że w takim razie nowy podatek jest dalszym krokiem na drodze do ogólnego przekształcenia systemu podatkowego.

Niektóre pisma rosyjskie sądzą, że podatek ten wpłynie również na zmianę sposobu umieszczania kapitałów i zwróci je do przedsiębiorstw produkcyjnych.

Wątpię bardzo o tych błogich skutkach, bo to zmniejszenie dochodu będzie bardzo nieznaczne. (Np. zamiast 5 rubli od sta — 4 k. 75).

Dodać należy, że w Austryi podatek od papierów procentowych wynosi 16—20% dochodu, we Włoszech 13% i we Francyi 8—9½%.

*J. L.*

---

# Ojciec Emanuel

przez

**P. K. Roseggera.**

Tak mówili — i tak podnosili się wzajem, powtarzając echa słów kapłańskich. A ze wszystkiego, co mówili, wypływała nauka: spełnić obowiązek swój, cierpliwie znosić przeciwności, z radością świadczyć dobre i używać go, śmierci się nie lękać.

Emanuel i Marya szli wśród mówiących. Co czuli, o tem nikt się nie dowiedział. Ale straszna męka rozdzierała serce uciekającego kapłana. Podczas rozmowy pielgrzymów Marya nieraz konwulsyjnie tuliła się do swojego towarzysza. Potem trzymała go jeszcze tylko za rękę i zaledwie czuła, jak gwałtownie ściskał jej palce.

Nagle przycichł gwar pomiędzy pątnikami, aż w końcu zupełnie zrobiło się cicho, gdyż mijali właśnie przestrzeń najniebezpieczniejszą ze wszech stron zarosłą sitowiem. Ale śród nocy ciemnej nikt nie widział, jak wązką była dróżyna; widziano tylko czarne masy urwisk skalistych, zakrywających księżyc.

Słyszano też huk wody w przepaści niezgłębi ej.

Pielgrzymi długim sznurem postępując, trzymali się za ręce, żeby nie zboczyć z drogi.

Emanuel lewą ręką ujął dłoń swego poprzednika, a prawą trzymał Maryę, która zwolna i ostrożnie szła za nim. Niekiedy szeptem dodawał jej odwagi, ale woda w głębinie huczała tak gwałtownie, iż dziewczyna pewnie nie dosłyszała słów jego.

Teraz przystanęli wszyscy, żeby odpocząć i niejedna trwożliwa kobieta potajemnie wzywała opieki Panny najświętszej. Sznur rozluźnił się nieco, gdyż ten i ów potrzebował ręki wolnej dla otarcia sobie potu z oblicza.

I Maryi ramię wysunęło się na chwilę. Niebawem jednak Emanuel znów pochwycił dłoń ukochanej, u której boku odtąd miał kroczyć przez życie. Z czułością wzajem go uścisnęła.

Przebyto wreszcie przestrzeń niebezpieczną. Droga coraz stawała się równiejszą i szerszą. Po nad głowami wędrowców księżyc połyskujący rozpostarł welon.

Kiedy Emanuel się odwrócił, żeby być bliżej dziewczyny, Maryi nie było w szeregu; trzymał za rękę starą jakąś babinę, która mu się przyglądała ze zdziwieniem.

Dziki okrzyk z jego ust i liczne głosy: Nie jesteśmy wszyscy! głucho odbiły się o skały.

Gdy zaświtała jutrzenka i poczęły śpiewać zięby i drozdy, znaleziono Maryę. Leżała zgruchotana w głębinie wśród mokrych, szarych głazów rwącego potoku. Krew jej zczerwieniła wodę.

Cicho i nie odezwawszy się ani słowem jednem wysunęła się była z szeregu towarzyszy i rzuciła się w przepaść.

Emanuel znajdował się w losie bezbrzeżnym, otoczony dzikimi krzewami i kwiatami, niepokojony przez rój chrząszczyków, pająków, motyli i ptaszków swawolnych i przyciskał twarz do mchu chłodnego, którego nigdy pewnie nie skrapiała jeszcze rosa taka, rosa gorzkich łez ludzkich. Odgadł i zrozumiał wszystko. Przypomniał sobie słowa Maryi: gdybym miała stać się zgubą twoją i przezemnie miał być straconym kapłan dzielny, wo-

## Z FRANCYI.

*Paryż, 28 marca.*

Gwiżdżący patryotyzm i „prawo do gwizdania.“ — Zachowanie się młodzieży francuskiej na pogrzebie Vallèsa i „derouledyzm.“ — *Une etrangère qui a ofensé la France!* — Szowinizm.

Czytelnicy *Prawdy* wybaczą mi, że ten pierwszy list z nadsekwańskiej stolicy rozpoczynam bez żadnego wstępu.

Wstęp później się znajdzie — przedsłowia zresztą wyszły z mody — tymczasem zaś pragnę ich wprowadzić odrazu w sam rozgwar paryskiego życia i pomówić o sprawie, która mi leży na sercu.

Wiekopomni autorowie deklaracyi „praw człowieka“ zapomnieli najwidoczniej o jednem prawie, o które obecnie uniwersytecka młodzież francuska dopomina się zapamiętale. Chodzi tu o „prawo do gwizdania.“ Mniejsza zresztą o samo prawo— gdyby je przyszło wyliczać do końca, a nie było już innego na porządku dziennym, można było by zgodzić się i na nie. Ważniejszem jest, że młodzież owa, ta nadzieja Rzeczypospolitej, robi z tego prawa najgorszy użytek, używa go na usługi w wysokim stopniu niesympatycznego, tu szczególniej, patryotycznego szowinizmu.

Posłuchajmy tylko. Zdarza się pogrzeb Vallèsa, znanego publicysty i pisarza.

Cóż naturalniejszego, że niemieccy współwyznawcy zmarłego, przebywający w Paryżu, gdzie swoboda słowa i zgromadzeń nie jest krępowaną, wystąpili za trumną z wiankiem, który gubił się zresztą w szeregu czerwonych i czarnych chorągwi, idących w pogrzebowym korowodzie. Policya w dniu tym powzięła decyzyę nieprzeszkadzania bynajmniej rozwinięciu w biały dzień na ulicy tych znaków, będących przytem emblematami istniejących stowarzyszeń. W Ameryce lub Anglii nie pojmowano by nawet, że może być inaczej, w Paryżu jednak zbyt jeszcze są żywe tradycye drugiego cesarstwa — decyzya więc była zupełnie nową. I powiodłaby się najzupełniej; pochód odbyłby się w najzupełniejszym spokoju i porządku, gdyby nie studencki patryotyzm.

Orszak pogrzebowy wyruszał, jak chciał przypadek, z łacińskiego kwartału; nadsekwańscy akademicy, wyprawiający po nim dniem i nocą nieludzkie wrzaski, nie mogli pominąć sposobności, żeby nie urządzić widowiska. W gruncie rzeczy pogrzeb był im rzeczą najzupełniej obojętną, minęły bowiem czasy, kiedy młodzież francuska brała żywy udział w jakichbądź ruchach postępowych... Zoczyli jednak jakiś wianek „niemiecki“ i dalejże gwizdać, wrzeszczeć, a wreszcie rzucać kamieniami i piaskiem. Chcieli nawet pochwycić wianek i wdeptać go w błoto, francuscy jednak robotnicy obronili swych towarzyszy i studenci oberwali niejednego szturchańca. Podrażnieni tem nie przestali aż do samego cmentarza swych niewesołych żartów. Nie pomogły perswazye:

> Przestańcie dzieci, bo się źle bawicie,
> Dla was to igraszką — nam idzie o życie.

O życie jak o życie. Poruszono jednak szowinizm francuski, niemców uznano za manifestantów, zakłócających spokój publiczny i kilku ich, a przy tej sposobności i innych — wydalono.

W parę dni później chowano na cmentarzu Levallois-Perôt paru żołnierzy francuskich, zmarłych z ran, otrzymanych w Tonkinie. Ponieważ żołnierze byli członkami stowarzyszeń, mających za swe godła czerwone chorągwie, i te więc korporacye przybyły na pogrzeb ze swymi znakami. Na cmentarzu poległych żołnierzy znalazł się oczywiście z urzędu p. Paweł Deroulède, prezydent „Ligi patryotycznej,“ deklamującej ustawicznie o niemcach i odwecie. P. Deroulède jest przekonany, że ma on wyłączny przywilej na prawdziwy, niefałszowany patryotyzm, to też skoro ujrzał na cmentarzu czerwone znaki, rzucił się ku jednemu z chorążych z krzykiem: „zedrzeć mi te łachmany“ i przy pomocy swego sztabu zdołał nawet wśród zamieszania i bijatyki zdobyć jedną chorągiew. Nikt nie był przygotowany na podobną napaść, najmniej stosowną na cmentarzu, to też wywołała ona ogólne zgorszenie i niesmak. Oficer tylko, dowodzący „szkolnym batalionem,“ towarzyszącym pogrzebowi, uważał za stosowne przyłączyć się do „patryotycznej manifestacyi.“ Awanturę całą załagodził, o ile mógł, mer obecny na pogrzebie, odebrawszy chorągiew „derouledystom“ i oddawszy je prawym właścicielom.

Wywołało to znowu całą wrzawę w prasie. Niektóre pisma humorystyczne przedstawiły pana prezesa Ligi w postaci byka, rzucającego się zapamiętale na wszystko co czerwone; dzienniki popierające patentowany patryotyzm wzięły stronę p. Deroulèda, zachowanie się jednak p. prezesa przypadło szczególniej do smaku policyi, która zachęcona temi patryotycznemi wystąpieniami zaczęła po dawnemu tropić czerwone chorągwie i niebawem na pogrzebie członka Izby poselskiej posła Gatineau nie pozwoliła na rozwinięcie nawet fioletowo-czerwonego sztandaru, który figurował ongi na pogrzebie Gambetty.

„Derouledyzm,“ jak niezależne dzienniki nazywają ten patryotyczny szowinizm, grasuje silnie między młodzieżą uniwersytecką. Inne za to najzupełniej wrażenie, wybryki podobne, łączone z patryotyzmem, wywierają na obóz radykalny. Że szerzej pojmowany patryotyzm nie wygrywa na tem — to pewna. Staje on się synonimem ciasnej nietolerancyi, prześladowania i wywołuje ku sobie nienawiść wraz z tendencyjnem przechylaniem się na stronę „kosmopolityzmu.“

Niedość jednak na tem. Przed paru dniami zaszła tu nowa, równie godna pożałowania awantura, wywołana przez tenże „gwiżdżący patryotyzm.“

Jesienią jeszcze zdarzył się w tutejszej Operze komicznej następujący skandaliczny wypadek. Primadonna operetki, młodziutka panna van Zandt pojawiła się na scenie w stanie... nietrzeźwym, *avait son ponpon!* Stało się wielkie zgorszenie i artystka musiała wyjechać na czas jakiś z Paryża. Przez zimę śpiewała nad Nową.

Przyjaciele młodziutkiej *divy* starali się ją jaknajusilniej wobec publiczności wytłomaczyć. Jedni powiadali, że zażyła zbyt wielką dozę pobudzającego lekarstwa, w którem był fosfor (z czego utworzył się wyraz *fosforé* na oznaczenie podchmielenia), inni kładli wypadek na karb nieroztropności. Niewątpliwie, panna van Zandt nie była pijaczką, obytą z trunkiem, czego dowodzi sama awantura. Umiałaby się z nim lepiej obchodzić... Czy jednak zażyła zawiele fosforu, czy wypiła dla dodania sobie odwagi jakiś kieliszek mocnego napoju — dość, że stała się rzecz skandaliczna — a świat, który jest zazwyczaj nader wyrozumiały dla wszelkich zawoalowanych skandalów, jest nielitościwy dla jawnych wybryków. Świętoszkowata obłuda nie znosi czegoś podobnego.

Na dobitkę zresztą panna van Zandt prowadziła się nader skromnie, nietylko dla pozoru, ale w istocie. Mieszkała z matką i nie miała wielbicieli ni bezinteresownych obrońców — a podobnego egoizmu publiczność teatralna, przynajmniej paryska nie przebacza. Skutkiem tego niewinną artystkę osądzono surowiej, niżby to zrobiono z inną jaką oblubienicą wielogłowego tłumu.

Ostatecznie jednak o całem zajściu zapomniano po trosze, panna van Zandt powróciła i zapowiedziała swój występ w *Lackmé*, w „Opera comique.“ Prasa i publiczność przyjęła tę zapowiedź przychylnie;

---

łałabym, aby mnie wprzódy największa zagrzebała lawina.

Z rozmów pomiędzy pielgrzymami dziewczę to przekonało się, jak wielkie Emanuel, jako kapłan, miał znaczenie, zastanowiła się, jak dla niej na grzeszne zeszedł manowce. Poświęciła się. On kazał o zwalczaniu namiętności, o ofiarnem zrzeczeniu się; ona kapłańską naukę najukochańszego przypieczętowała młodem życiem swojem.

### VIII.

Ze mchu wstał inny, aniżeli ten, który się nań był rzucił przed kilku godzinami. Pogrzebanym tu został młody człowiek pełen namiętności, powstał kapłan, kapłan wedle myśli bożej, stwierdzający słowa ust swoich czynami. Emanuel zapragnął wrócić do Maryi „w opuszczeniu“ i być wiernym, surowym piastunom miejsca, które obrały sobie wiara i zaufanie ludu. Wszak tak zrządziło przeznaczenie, a może duch owej dziwnej kobiety, która także zwała się „Maryą w opuszczeniu,“ rozświecił obraz nieruchomy w kościele.

A Marya męczennica, która dwa razy rzucała się w przepaść, raz, żeby ocalić niewinność swoją, drugi — spokój sumienia kochanka swego — ona przecież pochowaną być winna obok muru na górze, gdzie znajdują odpoczynek pątnicy nieszczęśliwi.

Żeby zająć się pogrzebem i podjąć obowiązki swoje — Emanuel wracał na górę.

Tymczasem nowe pielgrzymów nadciągnęły tłumy, a w zakrystyi widziano obcego księdza jakiegoś, który pod zagadkową nieobecność duchownego miejscowego, miał właśnie wstąpić na kazalnicę. Kościół był przepełniony. Emanuel w bluzie Gaizera chciał się przemknąć przez ciżbę niepoznany, żeby wejść do zakrystyi i przyoblec ornat. Aż oto ksiądz ów nieznajomy z czerwoną stułą i w czarnym barecie stał już na kazalnicy. Miał młode jeszcze, od słońca opalone oblicze i jasne loki, a głos jego dziwnie obcy miał dźwięk. Kazanie było krótkie, niebawem bowiem oburzenie przebiegło dom boży.

— Poganami jesteście wszyscy! — wołał kaznodzieja, że aż zatrzęsły się mury. Tam na górze jest bożek wasz. Do obrazów modlić się nie wolno. Pan Bóg zabronił tego.

Tysiąc głosów naraz rozległo się w kościele. Kaznodzieja znikł. Już go nie widziano więcej. Komżę, biret i stułę zostawił w zakrystyi. Były to te same, które Emanuel powierzył Gaizerowi dla odniesienia do kościoła. Emanuel też był jedynym ze słuchaczy, który poznał kaznodzieję. Był to człowiek leśny, Gaizer, w okolicy półgłówkiem przezwany.

Odkąd istnieje kościół „w opuszczeniu,“ żadne kazanie w nim — a kazali nieraz prałaci i biskupi — takiego nie wywarło wrażenia, jak owe szorstko rzucone słowa człowieka z lasu! Chciano ukamienować bluźniercę. Ale go nieznaleziono, bo Bimel szybko zdążał do skał po ścieżkach gemz i kóz dzikich.

Strzały mówcy zaimprowizowanego najboleśniej dotknęły samego Emanuela. Nie wiedział, co się z nim stało, gdy usłyszał, że zdawna w nim kiełkująca, lecz starannie ukrywana myśl, naraz i w sposób tak straszny wyraziła się.

Teraz już nie dręczyła go żadna troska tajemna. Dziko wybuchło wszystko, co dotychczas przytłumiał sztucznie i wstrząsnęło całą jego istotą.

Najprzód jednak Emanuel zarzucił sutannę i wstąpił na kazalnicę, żeby uspokoić tłum rozszalały. Zaledwie mu się to udało, gdyż nie miał dziś odpowiednich wyrazów, aby wobec „waryata“ uratować

chciano ją nawet uczcić dla wynagrodzenia poprzedniej surowości... nie to jednak było zapisane w czarnej księdze „ślepego patryotyzmu.“

Przy pierwszem zaraz występie kilku studentów, umieszczonych w wyższych sferach zaczęło zapamiętale gwizdać, mimo, że cały teatr trząsł się od oklasków. Zapuszczono kurtynę, gdy ją zaś następnie podniesiono na scenie ukazał się komisarz policyi, przepasany trójkolorową szarfą i zapytał publiczności, czy życzy sobie, ażeby dalej przedłużono przedstawienie. Odpowiedziano mu prawie jednogłośnym okrzykiem, że — i owszem!

Gdy jednak rozpoczęto znów sztukę, jeden z zapamiętałych gwizdaczy nie przestawał swego miłego solo. Poproszono go do komisaryatu policyi i tam zapytano grzecznie, z jakiego powodu gwiżdże tak zawzięcie?

— Wyczytałem gdzieś — powiedział, że ta cudzoziemka (panna van Zandt jest amerykanką, lubo wychowała się w Paryżu) obraziła Francyę i dlatego gwiżdżę.

Wytłomaczono mu, że jest źle poinformowany i że żadnej obrazy nie było... Dał się tedy przekonać, powrócił na swe miejsce i zachowywał się nadal spokojnie.

Skoro się jednak dowiedziano o tem, w łacińskim kwartale powstał wielki gwałt! Tłomaczenie owego młodzieńca wzięto za dobrą monetę i dalejże na obronę obrażonego patryotyzmu!

Na jednem z następujących przedstawień dwustu studentów otoczyło Operę komiczną; część dostała się do wnętrza; część, gdy zbrakło biletów, usiłowała wziąść szturmem teatr, reszta zaś wrzeszczała przed teatrem. Policyi z wielkim trudem udało się przywrócić porządek nazewnątrz teatru, czyli zmusić manifestujących do rozejścia się... Utworzono patryotyczne *monôme'y* z krzykami *) trawestując znaną piosnkę:

J'avais mon ponpon
En revenant de Surèsnes.

Śpiewano:

En revenant de Surèsnes
Mlle van Zandt etait ivre... etc.

Wołano *à l'eau* van Zandt! *à bas* Carvalho! (dyrektor rzeczonego teatru)...

Wewnątrz teatru krzyki i wrzaski były nie do opisania. Musiano przerwać przedstawienie, a panna van Zandt zniewolona była podać się do dymisyi.

Jeżeli przypomnimy sobie niedawno krucyatę studentów paryskich przeciwko cudzoziemcom, kształcącym się w Paryżu, wystąpienie ich przeciwko dopuszczeniu studentek do internatu i przeciwko studentkom wogóle... to łatwo wyrobimy sobie wyobrażenie o obecnym nastroju młodzieży paryskiej i o owym smutnej postaci patryotyzmie, pod którego sztandarem ona walczy.

Szowinizm we Francyi rekrutuje się zresztą nietylko wśród młodzieży.

*R.*

*) Jest to rodzaj węża, który urządzają studenci, idąc jeden za drugim i trzymając obie ręce na ramionach idącego przodem. Widzieć można często w *Quartier latin*. (Przyp. kor.).

## PROFESOR GUILLAUME.

*Paryż, 3 kwietnia.*

Świeżej pamięci wyrok krakowskiego *jury* w sprawie konkursowej zwrócił uwagę naszego społeczeństwa na jednego z członków, który przybył zdaleka i brał czynny udział w rozprawach nad pomnikiem naszego wieszcza. Zauważono także, że uprzejmy ten gość wypowiedział wiele nader słusznych uwag na temat, jakim powinien być pomnik takiego narodowego wieszcza, jak Mickiewicz i... w rezultacie głosował wraz z innymi za p. Dykasem.

Czytelnicy domyślają się, że mówię o profesorze w „Collège de France,“ panu Guillaumie.

Czytelnicy *Prawdy* chętnie zapewnie wysłuchają, kim jest ten profesor mickiewiczowskiego ongi kolegium, bo to wyjaśni nam nieco i zachowanie się jego na krakowskim konkursie.

Jeden z ostatnich zeszytów *Revue Bleue* *) w szeregu drukujących się tam sylwetek profesorów „Collège de France“ przynosi nam właśnie charakterystykę prof. Guillaume, napisaną przez p. Juliana Lemaître. Charakterystyka ta jest dość pobieżną, wystarczy nam jednak dla pochwycenia kilku rysów wybitniejszych.

P. Lemaître powiada na wstępie, że są artyści, którzy wydają na świat swe dzieła nieświadomie, rodzą je jak np. jabłoń owoce... Mogą oni często błądzić, udaje się im wszakże schwycić czasem życie na gorącym uczynku.

Są znowu inni, którzy nie przystępują do roboty inaczej, jak zbrojni nauką i filozofią, niedowierzający natchnieniu, liczący natomiast wiele na refleksyę i studya. Artyści tej kategoryi pragną przedewszystkiem wiedzieć, wiedzieć jaknajwięcej, a potem dopiero — tworzyć.

Krytyk zalicza prof. Guillaume'a do tej drugiej grupy. „Jest to — powiada — rzeźbiarz, umiejący prawie za dużo, zamknięty w sobie, pracowity, który statuy swe dwadzieścia razy zapewne przetworzy w głowie, zanim weźmie się do urobienia ich rękami. Nie wiem, czy marzy on o wcieleniu w każde ze swych dzieł jednej z przedwiecznych i boskich idej Platona; w każdym razie pojęcia Guillauma o nauce rysunku, uważanej przezeń za rodzaj geometryi, zgadzają się wcale dobrze z tem poszukiwaniem typów absolutnych, uosobionych w liniach.“

Guillaume jest twórcą kilku dzieł, wyrzeźbionych w tym platońskim stylu: *Anakreon*, *Rzymskie wesele*, *Kosiarz*... ten ostatni szczególniej ma się odznaczać ruchem swobodnym i śmiałym; jest to, zdaniem naszego krytyka, mimo swych linij klasycznych, utwor pełen życia i powabu. Rzeźby profesora odznaczają się wogóle szlachetnością stylu i harmonią układu. Linie ciała mają być u niego wogóle czyste i wdzięcznie się układające, twarzom tylko brakuje wszelkiej wybitnej indywidualności. Biusty atoli greckich postaci, będących uosobieniem typów oderwanych, Guillaume odtwarza znakomicie. Znanem jest także jego popiersie monsignora Darboy z wyrazem głębokiego smutku na znudzonej twarzy. Profesor jest wielkim czcicielem formi ideałów, nie trzyma się jednak ich ślepo, lecz usiłuje je zawsze, o ile można, pogodzić z rzeczywistością; stąd utwory jego, mimo idealny charakter, nie są przecież pozbawione pewnego realnego odcienia. Jest to wreszcie rzadkie połączenie artysty i krytyka filozofa w jednej osobie.

Wykład Guillaume'a w „Collège“ jest, zdaniem p. Lemaître, nawskroś apriorystyczny i dogmatyczny. Dla dowiedzenia tego przytacza on wiele przykładów, których atoli dla braku miejsca nie możemy powtórzyć. Profesor rzadko w swych wykładach posługuje się okazami, których zresztą i niema pod ręką. Zależy to także i od charakteru wykładów w „Collège de France,“ gdzie profesor ma przed sobą nie uczniów i specyalistów, lecz różnorodną i zmienną publiczność, z której większa część siedzi jak na niemieckiem kazaniu. Wykłady też w tym uczonym przybytku bywają zazwyczaj kazaniami...

Guillaume — powiada Lemaître, streszczając swój sąd — chciałby zredukować prawa artyzmu do niewielkiej liczby prostych reguł i sztukę całą w nich zamknąć. Jego odraza ku wszelkiej śmiałej indywidualnej fantazyi jest równie wielką, jak zamiłowanie reguły.

Jak widzimy, szanowny profesor jest jednym z szlachetniejszych typów idealisty, przez to już wszakże staje się jednostronny i nie zgadza z obecnem dążeniem sztuki do realizmu, indywidualizmu, śmiałego polotu i nagiej prawdy.

Rys ten uderzył mnie także w rozmowie, jaką miałem z profesorem Guillaume'm z powodu wyroku krakowskiego *jury*. W toku naszej pogadanki wyraził się z uwielbieniem o Heglu i jego estetyce, zdradzał także w każdem słowie wysoką cześć dla oderwanego ideału.

Nie przeszkodziło to wszakże, lecz raczej pomogło zapewne sz. profesorowi ocenić należycie, jakim winien być pomnik wielkiego wieszcza, którego był sam kiedyś uczniem w tem samem „Collège de France,“ gdzie dziś naucza czci dla ideału.

*) Tak nazywa się powszechnie w Paryżu *Revue politique et littéraire* z powodu niebieskich okładek, również jak wydawana przez tęż firmę i w tymże formacie *Revue scientifique* znowu *Revue rose* dla okładek różowych.

---

honor obrazu świętego. Większa część ludu tak była wzburzoną i z pobożnego nastroju swego wyrwaną, że bez spowiedzi i komunii opuściła miejsce odpustowe i przedsięwzięła sobie nie odwiedzać odtąd kościoła, w którym bluźnierca najstraszniejszy na miejscu nie padł rażony piorunem.

Skoro tylko Marya, pątnica „unieszczęśliwiona“ spoczęła pod murem kościelnym, z klasztoru nadszedł dekret odwołujący Emanuela od obowiązków.

Zeszedł z góry, lecz nie zamieszkał w dolinie. Klasztor nie nazywa go wprost odstępcą, ale imię jego pomija milczeniem.

### IX.

Od owego czasu niejeden rok upłynął.

Aż oto niedawno przyszedł list w góry, zaadresowany do Gaizera-Bimela. Ten żył jeszcze w kotlinie leśnej. List był od Emanuela, dawniejszego proboszcza u „Maryi w opuszczeniu.“ Brzmiał jak następuje:

Kochany przyjacielu!

„Pod murem kościołka „w opuszczeniu,“ ku zachodniej stronie idąc, na ziemi blisko siebie leżą dwa szare kamienie. Może już na na nich porasta mech. Spleć wianek z jałowcu i róż alpejskich i złóż go na kamieniach. Dobry jesteś człowiek i spełnisz mą prośbę. Ja mam się dobrze na ciele i duszy; żyję jako misyonarz w południowej Nowej-Walii, w części świata zwanej Australią.“

Gaizer zakrzyknął z radości, jakby dawno upragnioną od brata najukochańszego otrzymał wiadomość. On i żona uwili wianek z jałowcu, róż alpejskich i nieśmiertelników. I dziś jeszcze grób pod murem kościelnym świeżą jaśnieje krasą.

Ale przytułek na górze stoi pusty i miejsce odpustowe zaniedbane. Nieliczni pielgrzymi, którzy je zwiedzają pomimo to, odchodzą niebawem. Smutny głos dzwonu na wieży nie jest w stanie zagłuszyć słów owego nieznanego kaznodziei i rozbudzić zagasłe zaufanie ludu.

Do kościołka opuszczonego z ponad skał przyleciały dwa pająki górskie i potrójną siatką oplotły niszę obrazu, który tak cudownie wyrósł kiedyś wśród krzewów.

Zamiłowanie reguł i prostoty nie przeszkodziły mu także przyznać odpowiedniego narodowego pierwiastku w sztuce. W tym względzie powtórzył mi słuszne swe poglądy, wypowiedziane na posiedzeniu krakowskiego *jury*.

Mimo to jednak głosował za p. Dykasem. Po tem, co wyżej powiedziałem, czytelnik łatwiej zrozumie, że model nr. 6, oznaczony godłem „Świtezi," podbił go właśnie swoją „prostotą;" artysta przytem, który każdy projekt po dwadzieścia razy w głowie przerabia, nim weźmie się do jego wykonania, nie widział nic nieprawdopodobnego w tem, ażeby młody p. Dykas przekształcił z gruntu swój model—z prostego i konwencyonalnego zrobił wspaniały i narodowy!

Pan Guillaume jest przytem widocznie człowiekiem dobrym i wyrozumiałym profesorem, który nie traci nigdy wiary w postępy pracowitego ucznia... Na nieszczęście konkurs nie jest szkolnym egzaminem.

Ma on już blizko lat siedemdziesiąt, wyraz twarzy poważny i łagodny.

Zapożyczymy się jednak jeszcze u pana Lemaître.

„Jako człowiek — powiada on — prof. G. jest osobistością dystyngowaną: twarz o rysach delikatnych z pewnym odcieniem melancholii, broda biała, ostro zakończona, głowa piękna — żebyście jednak wiedzieli, z jakiem namaszczeniem naucza on estetyki, przemawiając do nielicznego audytoryum, złożonego z ludzi przeważnie obojętnych! Czyta swe notatki głosem jednostajnym, powolnym i smutnym, bez żadnego zabarwienia, ni giestu: ma fizyognomię człowieka, który odprawia nabożeństwo żałobne nad sztuką idealistyczną. Jest to katechizm, szeptany ledwie słyszanym głosem cienia, głos, który zdaje się jakby dolatywał z oddali, ze sfer platonowskich, gdzie żyją dusze artystów, marząc o formach doskonałych, zgodnych z przedwiecznemi ideami; ten cichy wykład ma swój mroczny jakiś powab, trzeba jednak pewnej cierpliwości i czasu, ażeby go odczuć."

*E. P.*

---

## PIERWSZY SOCYOLOG POLSKI.

### IV.

„Najrozleglejszym skutkiem przyrodniczej siły rozkładu—powiada Supiński—jest *stapianie* jestestw wszystkich w jedną pomieszaną i niemogącą rozdzielić się całość; jest wsuwanie się jednych istot między drugie; stawanie jednych na miejscach opróżnionych przez drugie; jest pozorne zarywanie *obcego*, a co przecież nie jest nikomu ani zupełnie własnem, ani zupełnie obcem. Człowiek samotny ruchu tego obudzić nie mógł; człowiek skupiony rzędem całym, nie mógł go nie obudzić, bo nie mógł z natury swojej *siły rzutu* nie przekraczać granic własnego jestestwa; a powszechne, *mimowolne* i wspólne wszystkim przekraczanie granic jestestwa własnego jest już widzialnym pojawem, niewidzialnej *siły rozkładu*." Z tych słów nie trudno odgadnąć myśl Sup.; jest ona trochę niezwykłą, może nawet dziwaczną. Chce on oczywiście te wszystkie objawy społeczne, które prowadzą do *zjednoczenia* społeczeństw, a więc wszelkie walki o byt i o mienie itp. podciągnąć pod ten jeden wspólny mianownik: *siły rozkładu*—równocześnie zaś także konieczność ich wywieść z *siły rzutu*, rządzącej każdą jednostką. Dziwacznem w tym całym pomyśle jest tylko to, że w myśli autora zlewanie się, amalgamacya społeczeństwa występuje jako wynik *siły rozkładu*.

Jakkolwiek zestawienie takie jest bardzo dowolne, uznać trzeba w niem usiłowanie podciągnięcia objawów społecznych pod powszechne prawo przyrodnicze. Co więcej, Sup. nawet stara się z „*pra*-prawa" swojego wywieść różne prawa „drugiego rzędu." pod któreby mógł podprowadzić szczegółowe objawy życia społecznego. Metodologiczne rozumowanie jego w tym punkcie jest zupełnie trafnem. „Jeżeli to, co nam się zdawało *pra-prawem* świata fizycznego, jest rzeczywiście podstawą i warunkiem wszechistnienia, a tem samem podstawą istnienia społeczności ludzkiej; tedy i to, co jest *następstwem pra-prawa* tego w świecie fizycznym, musi przejść także w społeczność; prawa powszechne drugiego rzędu muszą być te same tu i tam" (161).

Po takiem uzasadnieniu wylicza Sup. cały szereg tych praw drugiego rzędu, które rządzą objawami życia społeczności. Przeciwko metodzie i formie tego postępowania nie mamy żadnego zarzutu: natomiast przeciw poszczególnym przez niego sformułowanym *prawom* drugiego rzędu dałoby się niejedno powiedzieć. Pierwszem takiem prawem ma być to, że „istnienie powszechne jest *darmo*" (161), co ma znaczyć, że „przyroda jako twór stanęła darmo a *nienabyta* przez nikogo przez nikogo zbytą być nie może." Jakim sposobem zdanie to, wyrażające w najlepszym razie *fakt* naturalny, ma być *pra-prawem*—nie wiemy. Wszak przez *prawo* rozumiemy formę, w jakiej objawy świata stale i regularnie się powtarzają, a właściwie ową przyczynę, którą tej prawidłowości formy objawów podsuwamy. Fakt zaś, że „przyroda stanęła darmo"—jest tylko faktem—chyba Sup. chce powiedzieć, że przyroda i dzisiaj i w przyszłości zawsze *darmo* tworzy. Mniejsza o to zresztą, ale jakiż jest cel takiej formułki? Przypomina ona bardzo teoryę Russeau'a i późniejszych komunistów—którzy na tym pewniku, że przyroda jest „nienabytą przez nikogo," uzasadniali żądania swe zniesienia własności. U Sup. jednak prawo to służy tylko za punkt wyjścia do uzasadnienia „*wrodzonej* (?) *własności*." Powiada on bowiem: „Człowiek, stanąwszy w przyrodzie istniejącej darmo, rzuci się na nią z chciwością... ziemia będzie głównym jego natarcia przedmiotem... jego wiedza i praca utkwią w ziemi... ona stanie się częścią jego samego... kawałek ziemi, w którym zaszczepił część siebie, z którym się zrósł przez swoją wiedzę i pracę, pozostanie na zawsze jego *wrodzoną własnością*; a gwałt, zadany własności, będzie gwałtem zadanym jemu; jej zabór będzie zamordowaniem części jego istnienia, będzie odcięciem części jego ciała." Jest to więc wywód własności i prawa własności na pozór z pra-prawa fizycznego. Jasnym on nie jest; dzisiejsi socyologowie przedstawiają ten proces wyraźniej; ale jest to pierwsze mgliste przeczucie, że utworzenie się własności polega na jakiemś powszechnem prawie, rządzącem rozwojem społeczeństwa.

Drugiem prawem powszechnem (drugiego rzędu) jest według Sup. *rozmaitość powszechna*, z której wypływa trzecie prawo powszechne (drugiego rzędu) *podział przyrodzonej pracy*. „Podział pracy na olbrzymi rozmiar rzucony w przyrodzie całej, jest siecią, pokrywającą powierzchnię ziemi, splatającą części w niepodzielną całość, w stowarzyszenie powszechne, gdzie wszystko istnieje w zawisłości od wszystkiego" (164). Na tem prawie polega „rozdział zatrudnień i podział pracy" w społeczeństwie. Czwartem prawem takiem jest prawo „*wyścigów powszechnych*" (coś nakształt Darwinowskiej „walki o byt"). Polega ono na stosunku koniecznej równowagi, jaki istnieje między „*ilością jestestw i możnością istnienia!*" (pomysł Malthusa!) Sprzeczność bowiem między pragnieniem a możnością wywołuje wszechstronne wysilenia; każda pojedyncza istota chce ubiedz i po za sobą zostawić inne jednostki; wysilenia wszystkich są przyrodzonemi istot organicznych wyścigami" (168). „Istoty organiczne wyścigać się mogą pojedynczo, albo rzędami całymi; te ostatnie wyścigi poprzedzić musiały tamte, bo przyrodzony podział istot organicznych na rzędy opierał się długo bezwzględnym wyścigom jednostek." Jest to myśl bardzo trafna, a niech mi wolno będzie przypomnieć, że i dziś te „wyścigi rzędami" ważniejsze są w społeczeństwie, aniżeli wyścigi jednostek, jeżeli przez „rzędy" zrozumiemy szczepy, narody, warstwy ludności, stany itd. Jako piąte nareszcie prawo powszechne (drugiego rzędu) stawia Sup. równowagę między *prawami* i *obowiązkami* jednostek, którą wywodzi z równowagi stanu *czynnego* i *biernego* każdej istoty organicznej, rozumiejąc przez stan czynny wszystkie funkcye odnoszące się do rozwoju organizmu, a przez stan bierny wszystkie „poświęcenia istnienia szczegółowego trwałości ciała zbiorowego" (174). Jest to porównanie dość naciągane między objawami *siły rzutu* a objawami *siły rozkładu* w organizmie z jednej strony a prawami osobnika i obowiązkami jego względem społeczeństwa z drugiej. Myśl tę uwydatni może powyższy ustęp: „Stopniowanie, wzajemność i równowaga stanu czynnego ze stanem biernym, zatem praw i obowiązków, które dostrzegamy w przyrodzie, będące stopniowaniem, wzajemnością i równowagą, zatem warunkiem istnienia organicznych istot i stowarzyszeń, pozostać muszą *społecznemi prawami*. Jakoż, *obowiązki bez praw przytłumią istnienie jednostek;* prawa bez obowiązków rozstrzelą całość zbiorową; obowiązki uprzedzające prawa będą powolną śmiercią jednostek i całości; prawa uprzedzające obowiązki rozwiną siły czynne, których część ma przejść w stan bierny."

Wyliczywszy te prawa powszechne drugiego rzędu, przechodzi Sup. do wykazania: „jak prawdopodobnie te przyrodnicze prawa wrastały w tworzącą się społeczność i jak społeczność ta a raczej ludzie, którzy nią kiedyś związać się mieli, przygotowywali wielkiego żywota materyał, *pierwiastek życia społecznego*." Kreśli zatem obraz rozwoju społecznego głównie ze stanowiska ekonomicznego. A więc kładzie nacisk na „tworzenie zapasu," jako na pierwszy krok ku cywilizacyi; na „pracę i wiedzę," jako najpotężniejsze czynniki tego rozwoju; następnie na „zamianę," której „dzieje są dziejami ludzkości." Trafnie zauważa, że „zamiana stanęła na miejscu gwałtów i zaborów." Dlatego też „przedmiotem zamiany było to samo, co było przedmiotem gwałtów i zaborów, to jest: *praca człowieka*" (190). „Gwałty i wymiany szły razem i długo jeszcze razem iść będą; gwałt leży w pierwotnej naturze człowieka, wymianę on narzucił sobie (? wynika ona raczej z natury potrzeb jego!)... wojny wciskają się między traktaty; wymiany jeńców towarzyszą wojnom; świat się chwieje między jednem a drugiem, bo zamiana powszechna—to bezpieczeństwo, to wolność, to sprawiedliwość powszechna, to ideał..." „...w społeczności, w której już wymiana stanęła na miejscu rozboju, powszechnem usiłowaniem ludzi być musi zwiększać użyteczność (wyrobów) dla drugich, umniejszając pracę dla siebie..."

To i tym podobne działania społeczne stara się Sup. przedstawić jako objawy „sił rzutu i rozkładu." Przy tem tu i owdzie błyśnie myśl trafna, ale całość wywodu jest zbyt niejasna i pełna mistycyzmu. Czuje on sam niedostateczność tych rozumowań, bo w następującym rozdziale chce je znowu uzupełnić faktami. „Cośmy w tym zakresie dotąd powiedzieli, było rozumowaniem tylko; przejdźmy na

pole faktów i zobaczymy z kolei, opierając się zawsze na naszem *pra prawie*, jak prawdopodobnie społeczność ta powstała; następnie, jakim uległa przejściom, wreszcie w jaki sposób w przyszłość rozwijać się zdaje." Znowu więc *ab ovo* zaczyna. Podnosi ważność „wyrozumowania wypadków, którym towarzystwo ludzkie istnienie swoje winno" (212) i powtarza zdanie nienowe, że „siłą zawiązującą społeczność jest *trwoga*" (213). Znowu kreśli początek ludzkości podobny do stanu zwierzęcego i rozwój jej powolny jako objaw *siły rzutu*. „Wiara, wywołana trwogą, była pierwszym, poezya drugim krokiem, jaki człowiek uczynił na drodze pojęcia, uczucia i sądu" (220). Następuje dalszy rozwój tych trzech sił umysłowych—a więc prawodawstwo, umiejętności itd. Po skreśleniu tego rozwoju na tle historyi, choć bardzo pobieżnie i dowolnie grupując fakty, kończy tak: „Oto kilka uderzających zarysów spotęgowanej i już niezawisłej *siły rzutu*; oto obraz szczytu wysokości, gdzie człowiek dostaje zawrotu głowy, na którym traci równowagę i skąd go zdmuchuje prąd przyrodniczej *siły rozkładu*."

Pojawom tej „siły rozkładu" poświęcony jest ostatni rozdział, w którym Sup., jak sam powiada, chce dotknąć „kilka ważniejszych wypadków, gdzie ukryta i siłami rzutu nieprzerwanie tłumiona, lecz nieśmiertelna *siła rozkładu* oblicze swoje po nad społeczną wychylała powierzchnię." Jednym z tych wypadków jest upadek Rzymu—trudno jednak streścić myśl tego rozdziału, bo tutaj autor coraz więcej wpada w mistycyzm. Niech czytelnik sam sądzi: „Chrześcianizm był kometą; ruchy ludów potopem; upadek Rzymu trzęsieniem ziemi w łonie ludzkiego świata. Jakoż, przepowiednie, sny i przeczucia, dziwne zjawiska i znaki złowrogie pojawiły się po całej jego przestrzeni; głucho w głębiach ziemi dudnienie słyszano naraz w Gallii, Hiszpanii i Italii;—księżyc zaćmił się przy wschodzie, kometa niezwykłej wielkości zaogniła niebo od zachodu, od północy roztoczyła się ponad ziemią krwawa czerwoność, wśród której ognistemi dzidami staczały boje ludzkie postacie" (269).

W jakim celu Sup. o tem wszystkiem wspomina? Oto powiada: „Któż wie, czy wielkie, ale rzetelnie wielkie w dziejach ludzkich wypadki nie są odległem odbiciem, ostatnim kręgiem wielkich gdzieś poruszeń w przyrodzie całej, będącej niepodzielną całością." To już nie jest monizm, ale mistycyzm. Bo wprawdzie monizm, odrzucając rozróżnienie między światem fizycznym i moralnym, przypuszcza związek ich ścisły, jedność świata, jedność sił i praw światem rządzących, ale nie sprzęga z sobą rzeczy różnorodnych i zjawisk społecznych nie łączy ze zjawiskami meteorologicznemi i astronomicznemi. Trzęsienia ziemi bywały zawsze i bywają dzisiaj—ale cóżby miał być za związek między trzęsieniem ziemi i upadkiem państwa rzymskiego? Upatrywać taki związek, przypuszczać go tylko, jest mistycyzmem.

Skutki upadku państwa rzymskiego i znaczenie głównych wypadków wieków średnich podnosi Sup. w znany historyozofii sposób który się odznacza—dowolnością grupowania faktów i przemilczeniem innych, nieprzypadających do zamierzonej konstrukcyi. Tak np. po upadku państwa rzymskiego „*ludzkość* wróciła rzeczywiście (?) na stanowisko, z którego wyszła." „Przestano wierzyć w ziemską społeczność; każdy uciekał od niej, bo w niej zatrute grasowały wyziewy. Ludzie kryli się przed ludźmi; niedostępne wśród skał pieczary, głębokie ówczesnych lasów gęstwiny... zaludniły się pustelnikami; ojcowie rodzin opuszczają żony, topią dzieci itd." Pominąwszy już, że Sup. wydaje sąd o „ludzkości," nie mając najmniejszej wiadomości o ówczesnym stanie największej jej części w Azyi, Ameryce i Afryce; ale choćby tylko ta cząstka Europy, o której on myśli, mieściła w sobie całą ludzkość—to obraz powyższy nie odpowiada bynajmniej rzeczywistemu. Natomiast szereg takich obrazów ma ilustrować działanie *siły rozkładu* w społeczeństwie. Jest to ostatni rozdział „Fizyologii wszechświata." W „Zakończeniu" sam o treści dzieła swego tak się wyraża: „Przebiegliśmy prawa powszechne wszechistnienia, z pod których społeczność ludzka jako część onego wyłamać się nie zdołała; widzieliśmy w kilku ogólnych zarysach objętą przeszłość i obecność; zobaczmy jej prawdopodobną przyszłość. Ta przyszłość musi być wynikłością przeszłości i musi na tych samych rozwijać się prawach." Powtarza następnie jeszcze raz główne rysy swej teoryi; o przyszłości zaś kilka bardzo apokaliptycznych zdań wypowiada, jak np.: „Ziemia stygnie i ludzie stygną; ziemia się wygładza (?) i ludzkość się wygładza. Powierzchnie ziemi i ludzkości usiłują stać się jedną równiną; równina jest dążnością świata fizycznego (?) i znamieniem sprawiedliwości odwiecznej." (?) Kończy słowami: „ponad ludzką wolą stoi wola Boga; powyżej ustaw naszych ciążą przyrodzone prawa; „leges legum sunt."

Nie wątpię, żem czytelnika zmęczył tem sprawozdaniem z „Fizyologii wszechświata:" ale niechaj on mi wierzy, że sam więcej się zmęczyłem, czytając dzieło to uważnie. Trudno, *dziś* nie przypada ono już do naszego smaku i usposobienia; nie odpowiada naszym wymaganiom umiejętnym. Ale nie trzeba zapomnieć, że od czasu napisania tej pracy ćwierć wieku upłynęło. Dzieło to przedstawia pierwsze mgliste przeczucia umiejętności społecznej; nosi na sobie piętno pierwszych chwiejnych i niepewnych kroków w tym kierunku. Zostanie ono zawsze ciekawym pomnikiem historycznym. Nas dzisiaj wiele nauczyć nie może; dla nas najciekawsze są w dziele błędy metody i optyczne—że tak powiem — złudzenia umysłu, szukającego prawdy, ale niemogącego się pozbyć różnych przesądów i uprzedzeń nietylko swojego czasu, ale oddziedziczonych po przeszłości. I w innych literaturach europejskich początki socyologii nie były inne. Mają włosi swojego Giambattistę Vico, którego *Principj di una Scienza nuova* (1725) dziś takie same na nas robią wrażenie, jak „Fizyologia wszechświata" Supińskiego. Bo jakkolwiek Vico był daleko uczeńszym, aniżeli Supiński, jednak nie mógł się oswobodzić od różnych przesądów czasu swego, a jakkolwiek przeczuwa potrzebę „nowej umiejętności" społecznej, zabiera się do zbudowania jej obciążony wszystkimi przyborami teologii. A wreszcie w naszym czasie, w ostatnich latach jakież są początki socyologii w Niemczech? Oto tacy uczeni, jak Schäffle i Lilienfeld, o których już wspomniałem, piszą kilkotomowe dzieła pełne ogromnej erudycyi, w których dowodzą, że życie społeczeństwa nie jest niczem innem, jak tylko inną formą życia organicznego. Nie dziwmy się więc, że praca Sup., który pierwszy u nas chciał stworzyć naukę o społeczeństwie, opartą na prawach przyrodzonych, ma dużo wad i błędów, sądzona z dzisiejszego stanowiska. Ale przed ćwiercią wieku zawierała ona dużo myśli nowych i śmiałych; w każdym razie więc w dziejach literatury naszej zachowa zaszczytne miejsce.

Tom IV *Pism* zawiera listy i artykuły treści społecznej, a więc przedmioty, które Sup. dobrze zna i o których bardzo przystępnie i jasno się tłomaczy. Oczywista, że i tutaj znajdziemy dużo zdań dziś już przestarzałych (jak np. co do powstania własności itp.), ale zawsze rozprawy i rozumowania *ekonomiczne* Supińskiego są ciekawe a czytanie ich nie jest bez korzyści. O tragedyi w pięciu aktach „Tatarzy," mieszczącej się w V tomie pism, krytyka podobno dawno już sąd swój wydała.

*L. Gumplowicz.*

---

## SOJUSZ PIĘKNA Z DOBREM I WIEDZĄ.

II.

Niewiele straciło piękno i uprawiająca je sztuka na tem zniżeniu lotu swego ku ziemi: owszem zyskały, albowiem z roli igraszki choćby nawet olimpijskiej wzniosły się na stanowisko poważne, ruchliwe, czynne, a nadewszystko pożyteczne; utwór artysty, jeśli nie jest naecchowany tęsknotą za ideałem moralnym człowieka, przybraną w szatę zjadliwej satyry, czy pełną budującego namaszczenia, jeżeli nie jest symbolem pięknej rzeczywistości lub upragnionej przyszłości — trąci popisem i kuglarstwem.

Cóż powiedzieć na to mogą zwolennicy sztuki dla sztuki? Cienie Schellingów, Schillerów, Schleglów, Tiecków i wielkiego Kanta, flegmatyczni mędrcy brytańscy odwrócą się od świętokradzkiego zamachu na swobodę fantazyi. Jakże bowiem pogodzić z nim te słowa myśliciela królewieckiego, powtarzane przez tysiące: „smak jest zdolnością postrzegania przedmiotów lub pojęć przez upodobanie lub niechęć dla niego—bezinteresownie?" (Kritik der Urtheilskraft § 5.) Ale trudno walczyć z faktami, które tak umiejętnie dobrał Guyau i tak jaskrawem oblał światłem. Sztuka jest—wykrztuśmy ten złowrogi wyraz—mniej lub więcej utylitarną, i na tym wyklętym gruncie brata się z dobrem.

Jednak inaczej wygląda prawda, gdy się ją dopiero udowadnia, a inaczej, gdy ją badamy na gorąco, drgającą życiem. Estetyka mniej wyrachowanie przedstawia się w istocie, niż w dziele młodego francuza, tak samo jak etyka mniej brutalnie, niż u dawniejszych pisarzów angielskich, jak Bentham. Pożytek, leżący na dnie dobrego czynu lub natchnienia poety, z czasem tak pogrąża się we mgle uczuć podnioślejszych, że go wyśledzić można tylko z powiększającem szkłem logicznego rozbioru, i przechodzi w czystą ideę tak często, że wprowadza w błąd i każe zapominać o swem ziemskiem pochodzeniu. U człowieka wykształconego najszlachetniejsze popędy i poglądy nie mają częstokroć nic wspólnego z korzyścią własną, jego rodziny, społeczeństwa, i tylko wpatrując się w ich powstawanie odkryć można źródło realne i przekonać się, że u odległych jego przodków też same uczucia miały na celu zadowolenie kogoś. W dziedzinie piękna prawo to się potwierdza. W kulcie Erosa potrzeba ciała tak kryje się zawstydzona światłem dziennem, że jej nie dostrzeże najbystrzejsze oko, a platoński marzyciel, weźmie za objawienie bóstwa. W arcydziełach klasycznego świata wysoko cenimy sławny i starożytny rodowód i niedostępną dla nas pogodę; przeto silnie skupić musimy myśl, by zrozumieć, że te oto cudowne kształty Wenery z Milo głaszczą nasze zmysły przypomnieniem gładkości cery i pulchności w dotknięciu. Pierwiastek dobra to czarny rdzeń, pokryty grubą warstwą soczystych włókien i osłoniony na zewnątrz potężnymi a rozłożystymi konarami, które przykuwają wzrok zielenią i kwiatami;—w dębie, zarówno jak w dziełach sztuki, artysta i kontemplator nie widzi go—ale widzi chłodny myśliciel. Stąd tak słaba nieraz spójnia między rozkazami wyobraźń i serca artysty, która w wawrzynowy wieniec koryfeusza sztuki, jak Wagner, Liszt, Matejko, jak donosiciel — malarz

Pilotti, i donosiciel—poeta Southey, wplata gałązki chwastu.

Ale wróćmy do Guyau, by poznać rozwój wzruszeń estetycznych, naszkicowany przez niego. Otóż dopóki wyższe władze duszy drzemią—tylko zmysły odczuwają przyjemność; z czasem, w miarę kształtowania się inteligencyi przyłączają się roskosze światła umysłowego i współdziałają w wytworzeniu tego, co właściwie nazywa „pięknem"—wreszcie przewidzieć można dobę, w której uczucie powabu ogarniać zacznie całą duchową istotę człowieka, albowiem potrącać będzie o jego najdroższe nabytki intelektualne i etyczne również potężne, jak narządy pierwotnych wzruszeń.

Chciejmy się z autorem łudzić, że stanie się wedle jego przepowiedni, że piękne zleje się na nowo z przyjemnem, ale już w odmiennem, nieskończenie wyższem znaczeniu tego wyrazu—i że przymieszka idealna jedynie orzekać będzie o wartości każdego wogóle estetycznego wzruszenia. Tymczasem tylko w jednostce zaznaczać ma prawo Guyau podobny przebieg, dzięki uznanej teoryi psychologicznej, która mówi: zrazu czucie jest obojętnem wstrząśnieniem, w którem nie odróżniamy jeszcze ani dodatniego ani ujemnego charakteru: zanim np. doznajemy bolesnego oślepienia przez błyskawicę, przebiegamy po prostu wzrokiem jej czerwony zygzak; zanim nas zaboli skaleczenie nożem, uczuwamy chłód jego dotknięcia—potem dopiero zdajemy sobie sprawę, czy to cierpienie czy roskosz, a w końcu wrażenie rozchodzi się falami po całem jestestwie naszem, przenika do rozumu i woli, objawia się w układzie twarzy, ruchach, wyciska łzę i wydobywa okrzyki bólu lub zachwytu. Oczywiście im bardziej treściwym i głębokim jest nasz umysł, tem burzliwiej i hałaśliwiej potok ten po nim się rozlewa, tem doszczętniej zatraca się pierwotne jego łożysko: zmysły.

Rozległe widnokręgi, które przyszłość odsłonić ma sztuce, wydają się krótkowidzom ciemnością grobową, co kiedyś pochłonie piękno. Wiedza—twierdzą oni—tak nam w głowach rozjaśni, że zniknie tajemniczy mrok, kuszący naszą wyobraźnię i zaludniający się fantastycznemi widziadłami, przepadnie urok dążenia i dociekania, czyli to wszystko, co stanowi nieprzebraną skarbnicę przepysznych tematów. Hymn pożegnalny śpiewają muzom tak przenikliwi ich czciciele, jak Renan i Taine, na śmierć je gotuje Hartmann. Słysząc te żałosne wróżby, chciałoby się wtórować im elegijnym płaczem nad skonem piękna—ale na szczęście teraźniejszość tak barwna i jaskrawa, tak brzemienna atmosferą geniuszu niedawna przeszłość, w której każdy niemal dzień witał narodziny nowego arcydzieła, że pytamy nieśmiało, czy tym zwięzłym wyrokiem można rozwiązać to drugie zagadnienie dzisiejszej estetyki.

Bieżące stulecie radzi odpowiedzieć w duchu Guyau—przecząco. Ludzkość nigdy nie szybowała tak często i wysoko po przestworzach sztuki, jak wtedy, gdy pękły okowy krępujące jej myśl, wolę i uczucia. Po całym bezmiarze współczesnej oświaty przebiegło ożywcze, odświeżające tchnienie i okrzykami entuzyazmu napełniło powietrze. Chyba tylko odrodzenie się sztuk i nauk we Włoszech może iść w parze z tą nawałnicą uniesienia, wyśpiewaną przez natchnione usta wieszczów. Już nie na jednostki, jak dotąd, ale na dziesiątki każdy naród liczył swych ogrzanych „płomieniem bożym" synów. Rozegrał się wówczas ten wielki dramat wszechświatowy, który opiewa Brandes, a który stworzył dramatów pasmo nieskończone.

Co znaczą więc gorzkie żale wobec tak wymownego świadectwa? Czczemi są zdania tych zaskorupiałych wielbicieli klasycyzmu, co na płody fantazyi równoczesnej patrzą z politowaniem. Czyż Szekspir nie wart Sofoklesa, oryginalny Mickiewicz—naśladowcy Wirgilego? Przypominam sobie, że Byron swego bohatera Don Żuana porównywa gdzieś w udanym zapale do orła—na tej zasadzie, że Homer czyni to z którymś z mężów greckich. W tym przepysznym żarcie tkwi ironia, z której mógłby skorzystać niejeden akademicki krytyk. Człowiek dzisiejszy tak rdzennie różni się uczuciami i wyobraźnią od helleńskiego wzoru, że ideały swe pokłada w pragnieniach innych zupełnie, ale bynajmniej nie niższych; przeciwnie z etycznego punktu widzenia—nieskończenie szczytniejszych.

Raz wstąpiwszy na drogę rozumowania Guyau, możemy swobodnie wybierać dowody z życia, które się szeroko przed nami roztacza. Możemy wytłomaczyć sobie, dlaczego upośledzoną jest dzisiaj rzeźba, a na stanowisko górujące wyniesiono muzykę—albowiem świadomi jesteśmy naszej wewnętrznej rozterki, sponiewierania ciała, egzaltowanej czci oderwanego ducha; wiemy, że tylko równouprawnienie obu czynników naszej organizacyi daje pokarm rzeźbiarstwu, podczas gdy muzyka streszcza wiernie nastrój marzycielski, romantyczny, jest rzecznikiem łzami wezbranych serc, rozpamiętywanych zawodów i udręczeń. Lecz jeśli mierzyć rozwój sztuki wpływem, jaki ona na ogół wywiera—wypadnie, że z poezyą dźwięków żadna inna nie wytrzymuje teraz współzawodnictwa. Od wytrawnego znawcy harmonii do wiejskiego skrzypka, od wytwornego salonowca do ubogiego rzemieślnika, każdy ją odczuwa, szuka jej i pod magicznem działaniem tonów z otuchą podnosi głowę lub zatapia się w smętną zadumę.

A może to właśnie schylenie się sztuki do progu maluczkich grozi jej upodleniem? Piękno, wołają, musi być wyszukanem, każda pospolitość je zabija, a dziś tak zdemokratyzowano wiedzę, że z tej mieszaniny wawrzynowej woni z odorem potu, słodko brzmiących rymów z żargonem ulicznym narodzić się może twór poroniony, karłowaty. Płonna obawa! Sztuka na przynależnej jej wyżynie wytrwa—chociaż utrzymywać ją tam będzie nie przytaczany przez Guyau fakt, że smak wydelikacony zwycięsko ostanie się obok gustów trywialnych tłumu, że większy poczet słuchaczów i widzów zapewni artyście lepsze warunki i swobodę tworzenia. Nie to ją ocali—albowiem jaskrawie przeczy republikańska nawskroś Szwajcarya, która pomimo że przyrodzonem swem pięknem przyciąga cały świat oświecony, nie zdołała wytworzyć w mieszkańcach artyzmu wyższego nad pospieszne malarstwo krajobrazów i wyrzynanie strzelców z drzewa—lecz owa mniej skądinąd wesoła perspektywa, tak wybornie scharakteryzowana przez Scherra, że cywilizacya zamiast równości zawsze mieć będzie kopciuszka, którego imię tylko od czasu do czasu ulegnie zmianie, stan trzeci nazwą ludzie czwartym, ósmym, dziesiątym, ale się go nie pozbędą nigdy.

Skarżą się pochopni grabarze sztuki na szkodliwość przemysłu, na industryalizm, który tak przekształcił fizyognomię społeczeństwa—lecz dotąd jakoś jego burżycielstwa nie widać. Siły, któremi się człowiek dziś posługuje, już przez samą swoją wyższość początkową, machiny przez samo zbliżanie się do budowy ludzkiego ciała — są bardziej estetyczne; w formach coraz to mniejszych, coraz niklejszych ukrywa się potęga, coraz większa, i mniej oczekiwana. Statek, majestatycznie prujący bałwany oceanu, nie ustępuje ciężkim okrętom perskim z pod Salaminy. Lokomotywa, zwłaszcza gdy zziajana wije się z łańcuchem wagonów pomiędzy wzgórzami Morawii lub dumnie wdziera na szczyt Righi, iluż niezapomnianych wrażeń dostarcza! Groźne paszcze dział—choć to tylko narzędzia śmierci i zniszczenia—wyzierające z pancernika lub przygotowujące się do pożarcia niezdobytej napozór twierdzy, silniej chyba wstrząsają naszymi nerwami, niż niedołężne tarany, używane przed wynalezieniem prochu.

Postęp wiedzy teoretycznej nietylko że sztuce ujmy nie czyni, ale ją podnosi i uszlachetnia.

Przechadzka po wąskiej ścieżynie leśnej, przy słabym blasku księżyca stokroć piękniejszą jest, nad przejażdżkę po szerokim gościńcu. Otóż ten właśnie urok skrytości i tajemnicy we wszystkiem, co nas otacza, nauka pogłębia niezmiernie. Im kto bliższym jest Sokratesowego ideału, tem wyraźniej czuje, że nic nie zna. W tem cały dramat wiedzy, że ona każdem świeżem odkryciem więcej ciemnych widnokręgów otwiera, niż mglistych rozjaśnia. Zdobyczą najwyższą, którą się filozofia współczesna najbardziej chlubi—jest skromne wyznanie dwu wielkich jej filarów, Kanta i Comte'a, że sfera nadzmysłowa jest dla naszego umysłu zamkniętą na siedm pieczęci księgą.

Z drugiej strony praca uczonych zapełniła niebo i ziemię żyjącemi istotami, które mnogością swą i rozlicznością przewyższają fetysze dzikich plemion i barwną rodzinę bogów klasycyzmu; one to odkryły w kropli wody, w garści szarej gleby myrjady żyjątek lub ich niezatarte ślady, tak iż gdzie się obrócisz, wszędzie odnajdziesz walkę, ruch, dążenie — świat wzrósł w ogrom i treść, bo padoł nasz spadł do wielkości atomu, iskierki świecącej w eterze; nieskończoność rozpada się, zajaśniała całą wspaniałością. Wszechświat, jakim go nasi praojcowie pojmowali — wydaje się nam pustym nieledwie, ograniczonym w porównaniu z tym, jakim go sobie wyobrażamy dziś, z tą bezgraniczną areną, gdzie ścierają się i krzyżują widzialnie i niedostrzeżenie miliony prądów. Dla poezyi i sztuki wogóle trysnęły nowe źródła natchnienia. Wzmogła się moc i liczba bożyszcz, bez których piękno nie byłoby w stanie wyżyć — jak chcą estetycy — boć przecież filozofia nigdy nie była tak panteistyczną, nigdy nauka nie korzyła się przed taką jak teraz gromadą nieznanych potęg.

Tak więc analiza ludzka, sama o tem nie wiedząc, najtroskliwiej pielęgnuje piękno. Zamiast przeto złorzeczyć, śpiewajmy na cześć myśli filozoficznej psalm pochwalny. Darząc sztukę tak hojnie, nie podkopuje jej ona nawet tym ostatnim niebezpieczeństwem, przed którem truchleje powierzchowny logik, nietykalnemi pozostawia intuicyę, natchnienie, ów błysk talentu, ową dedukcyę w tworzeniu, której nie zastąpi żadna inteligencya, choćby się na nią złożyła cała mądrość wczorajsza i jutrzejsza—bez której żaden mędrzec prawdziwego dzieła sztuki nie stworzy.

Jeżeli posiada przekonywającą siłę ten z konieczności skrócony szereg dowodów, jakie nasuwają olśniewające trafnością uwagi Guyau, wypadnie, że na pozór niezniszczalne pragnienie, które strawiło Flauberta i dzieje jego pisarskiej karyery, tak jak dzieje całego rodzaju podobnych mu zamieniło w jeden męczący dramat walki wyobraźni z wiedzą, może być spełnionem; ciężki Sfinks może się połączyć miłosnym uściskiem z lekką chimerą-fantazyą; ona nie potrzebuje się obawiać, jak w wizyach św. Antoniego, że ją skrzydlaty potwór zmiażdży swem cielskiem — byle tylko artysta nie czynił, wzorem tego samego Flauberta, ze sztuki muzeum archeologicznego, lub jak Sully Prudhomme, przyrodniczego wykładu.

*N. Hirszband.*

# Prasa peryodyczna.

II.

**Biblioteka warszawska**. Styczeń, luty, marzec.

*Biblioteka warszawska* w ostatnich latach ożywiła się nieco, nie lęka się poruszenia kwestyj bieżących, próbuje nawet śledzić za ruchem umysłowym Europy. Odmłodzenie to wszakże nie dotyczy bynajmniej kierunku pisma, zasklepionego w dziwnego rodzaju konserwatyzmie, którego wybitnych znamion trudno dopatrzeć. Nie jest to wojowniczy konserwatyzm *Przeglądu polskiego* lub *powszechnego*, bądź co bądź znajomy z nauką, z którą o tyle ściera się, o ile ona staje w poprzek jego pożądaniom, ale raczej gderliwe zrzędzenie staruszka niezadowolonego z nowych czasów i ludzi. Czuje jednak redakcya *Biblioteki*, że dziś już zrzędzenie nie wystarcza, pragnie więc przyjąć żywszy udział w życiu umysłowem, uzupełnić braki swego naukowego wykształcenia. Niestety, usiłowania te nie zawsze idą w parze z pomyślnym skutkiem; trudno odmówić *Bibliotece* dobrych chęci, ale nie można przyznać szczęśliwego ich urzeczywistnienia. Pomimo kosmetyków naukowych najświeższego nieraz wyrobu wymalowana i odświeżona staruszka wygląda z pozoru dosyć młodo, ale ducha swego odmłodzić nie może.

W dziale nauk społecznych p. Br. Łoziński wojuje z socyalizmem, z „czerwonym upiorem“ własnego wyrobu, któremu zwycięzko ścina głowę. Autorowi „Walki z socyalizmem“ niepodobna odmówić rycerskiego animuszu. Spędza on do jednej kupy socyalizm naukowy i ruchy anarchiczne, Marksa i Proudhona, Schaeflego i Mosta, wypłasza nawet z mogił dawno pogrzebane utopie komunistów i nad tą bezładną zgrają wymachuje mieczem... papierowym. P. Łoziński nie zdaje sobie dobrze sprawy, z jakim socyalizmem chce walczyć: czy z teoryą naukową, czy też z tą formą ruchu społecznego, w jakiej przejawiają się dążenia socyalistyczne, czy też wreszcie z potwornymi wybrykami rozpasanego anarchizmu, albo z frazeologią niedouczonych apostołów. „Wspólne pożycie,“ „wspólna własność,“ „rozkiełznanie instynktów poziomych,“ „bezwyznaniowość“ i inne strachy, wymyślone na mieszczańskie wróble, figurują w rzędzie argumentów poważnych, użytych do pokonania np. Schaeflego, który wyraźnie zastrzega, że wszelkie reformy w sferze religijnej i stosunków rodzinnych nic wspólnego z socyalizmem nie mają. Do walki z groźnym wrogiem przywołuje p. Łoziński na pomoc nawet prof. Gumplowicza, chociaż w innych wypadkach z pewnością odżegnałby się od niego znakiem krzyża. Mimochodem autor robi takie cenne odkrycia jak np. że „socyalizm jest stanowczą negacyą państwa,“ kiedy, jak wiadomo, jednym z najsilniejszych argumentów przeciw tej doktrynie było właśnie wręcz odwrotne twierdzenie. Po co wreszcie cała ta walka, kiedy według zdania p. Łozińskiego istnieje w polskim języku dzieło „człowieka rozległej wiedzy i bystrego obserwatora stosunków społecznych, w którem rozwiązano zadanie dręczące mężów stanu i uczonych całej Europy.“ Autorem tego „objawienia“ jest, ktoby to odgadł? p. Popiel! „Jeżeli nawale socyalizmu, na którą składa się pycha, głupstwo i wszystkie wyuzdane, począwszy od duchowych aż do cielesnych, namiętności, społeczeństwo obronić się pragnie, niechże wspólnie z kościołem i władzą przeciwko niemu działa“ — zaleca patryarcha krakowski. Najpotrzebniejszym jest jednak współudział kościoła, bo „niepodobna wytłomaczyć masom błędów i niedorzeczności socyalizmu, ale łatwo dogmatycznie zakazać złego.“ Chociaż „niewdzięczna ludzkość“ nie oceniła zasług kościoła, przyczynił się on jednak do zniesienia niewoli osobistej, pańszczyzny a nawet „ratował ofiary zabobonu *pod formą* (?) czarownic.“ Zgodnie ze swym mistrzem p. Łoziński w poddaniu państwa kościołowi widzi jedyne lekarstwo na „chorobę wieku.“ „Będzie to pielgrzymka do Canossy — przyznaje on — ale pielgrzymka zapewniająca ochronę przed wielką katastrofą, bo Canossa stoi na epoce, której bramy piekielne nie przezwyciężą!“ Jest to prawdziwem nieszczęściem dla ludzkości, że podający takie niezawodne lekarstwo autor, skompromitował się przepisywaniem cudzych korespondencyj i dziś nawet austryackim ministrem zostać nie może. Inni zaś mężowie stanu nie hołdują zasadzie klin klinem i nie zdradzają zamiaru skierowania powodzi czerwonego internacyonału na młyny, które tak chętnie do „użytku publicznego“ oddaje internacyonał czarny. Obawiam się, że względnie do autora również niewdzięczną okaże się opinia publiczna za tak nieudolną obronę ustroju społecznego, który gdyby opierał się takich tylko filarach, dawno by już runął. Ale natomiast apostołowie socyalizmu powinni być p. Łozińskiemu bardzo wdzięczni, nastręcza im bowiem sposobność do łatwego tryumfu, i to nawet na arenie logiki i stylu.

P. Eugeniusz Lipnicki kreśli świeże dzieje „Sojuszu austryacko-niemieckiego od 15 października 1879 do 15 października 1884 r.“ Jest to artykuł informacyjny, któremu brak szerszych uogólnień, bo pomimo zmian ostatnich niepodobna uważać przymierza tego za skończony moment dziejowy. Wpływy jego na stosunki polityczne i następstwa, których przewidzieć niepodobna, wymykają się z pod oceny publicysty. Praca ta w spisie rzeczy figuruje pod rubryką historyi, do której zaliczono również życiorys Smolera przez p. Bogusławskiego. Życie Smolera jest pouczającym przykładem wytrwałej, mrówczej pracy nad duchowem odrodzeniem swojego ludu. W najnowszych dziejach ludów zachodnio - słowiańskich spotykamy często te niespożyte postacie tytanów-wskrzesicieli, proste, niezgrabne, ale wyciosane z jednej bryły. Tych niezmordowanych robotników nie przestrasza ogrom pracy, chociażby był — jak dla Smolera np. — pracą Syzyfa. Zaznaczam to ostatnie wyrażenie, bo rozpatrzywszy się na chłodno w stosunkach łużyckich, trudno przyjść do innego przekonania. Nad tą wysuniętą placówką słowiańską ciąży fatalność nieuniknionej prawie zagłady. Ocalenie jej byłoby chyba cudem, w który wierzyć mogą i muszą walczący, ale nie świadkowie. Nie zmniejsza to jednak wcale naszego współczucia dla tej garstki morituriów, którzy krok za krokiem ustępując miejsca nawale germańskiej, umierają wszakże z pieśnią ojczystą na ustach.

Pamiętniki Leona Dębowskiego p. t. „Moje wspomnienia“ drukuje *Biblioteka* od zeszłego roku. W ostatnich zeszytach opisuje autor dosyć szczegółowo wypadki 1830 i 31 roku. Dembowski jest wybitnym przedstawicielem tego niedołęztwa politycznego, jakie cechowało w ostatnim wieku ogół szlachecki. Nałożał on do tych, który bynajmniej nie sympatyzowali z ruchem rewolucyjnym, ale nie mieli ani dosyć energii, żeby mu przeciwdziałać, ani dosyć poświęcenia, żeby raz przyjąwszy udział, wypełniać sumiennie i gorliwie swe obowiązki. Z własnych wyznań autora okazuje się, że stronnictwo, do którego należał nie miało wcale świadomości swych celów i środków. Nie należy nawet nazywać stronnictwem tej luźnej zbieraniny przeróżnych żywiołów, dla której jedynem ogniwem solidarności był brak wszelkiej energii. Bo nawet najwybitniejszy przedstawiciel tego kierunku opinii generał Chłopicki przymiotu tego nie posiadał i zastępował go niedość szczęśliwie szorstkością żołnierską, albo wybrykami pretoryańskiej samowoli. O niedołęztwie umiarkowanych świadczy najlepiej ta okoliczność, że w Izbie posiadali oni olbrzymią większość (na 125 członków było tylko 11 entuzyastów i drugie tyle liberałów lub doktrynerów); pozwolili jednak drobnej garstce przeciwników przeprowadzać postanowienia takiej wagi, jak akt detronizacyi, który stanowczo potępiali. W pamiętnikach Dembowskiego przebija się dosyć wyraźnie niechęć do warchołów, chociaż ton opowiadania jest spokojny i chłodny.

Na poparcie swego zdania nie waha się on w wyborze argumentów, twierdząc np., że Rosya posiadała 70 milionów ludności i 800,000 armii.

Nie chcę przypuszczać, żeby to było skutkiem złej woli, prawdopodobniejszem jest, że w kilkadziesiąt lat później Dembowski, spisując swe wspomnienia, wziął cyfry z epoki bieżącej, ale nie zauważył omyłki, ponieważ ona popierała jego rozumowanie. Historya wypadków 1830 i 31 r. jest prawie nieznaną szerszej publiczności i zaradzić temu trudno bardzo, z tego więc względu nawet tendencyjna praca Dembowskiego posiada wielką wagę. Nie jest ona bez znaczenia i dla historyka, dając np. szczegóły, rzucające ciekawe światło na podróż Lubeckiego i Jezierskiego do Petersburga itp.

P. L. Dębicki p. t. „Z korespondencyi naukowej Puław“ zamieszcza wyciągi z archiwów Czartoryskich, dotyczące Tadeusza Czackiego i szkoły krzemienieckiej. Praca ta niema pretensyi przedstawiać całkowitej działalności Czackiego, ale jest cennym chociaż drobnym przyczynkiem do dziejów epoki ówczesnej.

P. K. Kaszewski w artykule p. t. „Etyka rozwojowa“ streszcza dosyć objektywnie i starannie dzieło Spencera. Autor nie zgadza się z poglądami myśliciela angielskiego, ale krytyce ich poświęca bardzo mało miejsca. Zresztą krytyka owa kręci się między tradycyjnemi wyrażeniami oportunizmu naukowego: „jakkolwiek z jednej strony“ — „to wszakże z drugiej strony.“ W naszych stosunkach i za to wdzięcznym być należy, zwłaszcza, że ton artykułu jest poważny i spokojny. P. Kaszewski chwali dokładność przekładu polskiego, ale zarzuca brak objaśnień, potrzebnych jakoby z tego względu, że w systemacie Spencera etyka łączy się ściśle z innemi umiejętnościami. O ile zachodziła potrzeba, uczynił to sam Spencer w tekście, szczegółowe zaś wyjaśnienia wymagałyby chyba drugiego tomu dopisków. Zresztą przypuszczać należy, że inteligentny czytelnik posiada należyte pojęcie o całokształcie poglądów Spencera.

P. J. Rzepecki pisze „O nieznanych dotąd poezyach Zbigniewa Morsztyna;“ jest to przekład rozprawy na stopień doktora filozofii napisanej w języku niemieckim, o której w swoim czasie pisaliśmy osobno.

Odczyty p. W. Dzieduszyckiego: „O powieści Henryka Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*“ nie zostały jeszcze ukończone, ponieważ studyów o tej powieści czytelnicy z pewnością połknęli już tyle, że nowa dawka sprawić by im mogła tylko oskomę, załatwiamy rzecz tą wzmianką, nie czekając dalszego ciągu.

Dla ciekawych dodam, że p. hrabia chwali bardzo zręcznie pana, jakby to powiedzieć, hrabiowskiego... przyjaciela („Mój przyjacielu!“).

Dział sprawozdawczy reprezentowany jest w *Bibliotece* dosyć obficie. P. Matuszewski przegląda „Wystawę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.“ Nie jestem estetykiem z powołania i nie chcę robić konkurencyi znawcom z *Wędrowca*, więc

chociaż poglądy p. Matuszewskiego nie trafiają mi do przekonania, sprzeczać się z nim nie będę.

Co prawda, nie rozumiem dobrze „błękitnego półmroku," człowieka „okrytego w biodrach," ani tego faktu, że król Przemysław „zaprószył sobie głowę z oplecionej butelki" — ale to są tylko właściwości stylu tych, co stoją na straży czystości uczuć i mowy rodzinnej.

W zeszycie lutowym znajduje się „Kronika paryska, w marcowym zaś — londyńska. Pierwsza informuje czytelnika tylko o ruchu literackim Francyi, druga obejmuje szerszy zakres stosunków angielskich. Obie o tyle o ile spełniają swoje zadanie. Z uwagi na powszechny prawie brak wiadomości tego rodzaju w naszych czasopismach, kroniki zagraniczne w *Bibliotece* zasługują na przychylną wzmiankę. Są one tym przysłowiowym rydzem, który podnieść należy.

„Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego" i dosyć skrzętnie zbierane „Wiadomości bieżące naukowe, literackie, artystyczne i społeczne" dopełniają całości. W bieżącym roku nie spotykamy wcale „Kroniki ekonomicznej;" ważna ta a bardzo porządnie prowadzona rubryka powinna być koniecznie przywróconą.

*L.*

# LIBERUM VETO.

Celowość w wielkich panach i paniach. — Dziecko i szczenię. — Towarzystwo opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi. — Co po latach siedmiu? — W jakim wieku lepiej być podrzutkiem. — Wezwanie do przyszłych członków. — Zakład dla ofiar wielkanocnych. — Dom zdrowia dla nieprzyjaciół Brandesa. — Jedna kropla atramentu z przesadą a druga bez oleju.— O co? — Badanie studzien miejskich i teorya suchości.

Od czasu do czasu Opatrzność — jakby powiedział nieboszczyk ks. Golian — słusznie dbająca o to, ażeby ludzie nie zapomnieli celu istnienia jej tworów, poucza nas, na co stworzyła wielkich panów i wielkie panie. Zwykle to przypomnienie odbywa się podczas wyścigów konnych, wystawy inwentarza, karnawału i kwesty wielkanocnej; w tym roku przybyła nowa sposobność. Nieraz wymawiam losom, że mnie nie zrobiły wielkim panem; ale najbardziej wtedy, gdy czytam, że na ulicy, w kanale, framudze, pod schodami znaleziono dziecię, że żywe oddano do *szpitala*, że—słowem—gorzej w Warszawie być porzuconem dzieckiem, niż szczenięciem, któremu każdy posłaniec czerwoną tasiemkę na szyi zawiąże i przed Hotelem europejskim w troskliwe ręce je sprzeda. Wtedy żałuję, że nie mogę kilkuset, lub kilkudziesiąt tysięcy rubli rzucić na ratunek tym nieszczęśliwym ofiarom miłości, występku lub nędzy. Widocznie podobnych żalów zebrało się tak dużo, że aż je Opatrzność przelała w serca, mogące takim pragnieniom dogadzać, bo oto grupa dostojnych kapłanek Fortuny postanowiła założyć „Towarzystwo opieki nad biednemi matkami oraz ich dziećmi w Warszawie." W mieście naszem istnieje (obok szpitala i zakładów prywatnych) 5 przytułków położniczych, które potrzebom nie wystarczają; po za Dzieciątkiem Jezus zaśniema wcale ochrony żłobkowej, do której by matka biedna dziecko swoje złożyć mogła. O obu tych niedostatkach pomyślały właśnie bogate panie — nietylko pomyślały, ale nawet uzyskały zatwierdzenie dla swej ustawy. W tej chwili już podobno Towarzystwo działać zaczęło. Działalność ta polegać będzie: 1) na wyznaczaniu wsparcia ubogim kobietom brzemiennym, o ile im środki w domu pozostawać nie pozwalają; 2) na utrzymaniu przytułku położniczego dla najuboższych; 3) na wychowywaniu do 7 roku życia tych dzieci, których matki, opuszczając przytułek, nie będą mogły zabrać lub *nie zechcą*. Przy tym ostatnim punkcie nasuwa się pytanie: co Towarzystwo robić będzie z dziećmi siedmioletniemi, których matki zabrać nie zechcą? Pod względem samodzielności wobec świata i ekonomicznego stosunku do matki dziecko siedmioletnie prawie niczem się nie różni od cztero lub dwuletniego. Co znaczy więc ten okres lat siedmiu, naturalnie, jeżeli on był pomysłem dobrowolnym a nie nakazanym przy zatwierdzeniu Towarzystwa? Dlaczego nie pięć, sześć, ośm, lub dziesięć? Być może, iż na te pytania znajduje się odpowiedź w ustawie, którą znamy tylko ze skróceń w gazetach; w każdym razie ciekawą jest kwestya, jak przytułek poradzi sobie z wychowańcami siedmioletnimi, pozbawionymi opieki rodzinnej? Czy ich po prostu wypuści na ulicę? W takim razie zauważę, że wolałbym być podrzuconym, mając kilka dni lub tygodni, niż siedem lat: w pierwszym razie umarłbym bez żadnej świadomości swego stanu, w drugim — z dość rozwiniętą. Sądzę zaś, że ten gust podzielają wszystkie dusze na składzie w niebie, które mają przyoblec się ciałami na naszej ziemi. Słyszę ich prośbę z góry do Towarzystwa: zacne panie, pozwólcie nam zrzucać skorupy ziemskie zaraz po przywdzianiu, bo potem, gdy dusza zrośnie się z tą powłoką, daleko trudniej!..

Kilka słów jeszcze o ustroju nowej instytucyi. Czuwać nad nią będą dwie władze: rada opiekuńcza, składająca się z pań i panów, a nadto komitet gospodarczy z trzech pań i dwóch panów — wybieranych przez ogólne zgromadzenie na lat trzy. Kapitał zakładowy wynosi 12,000; procenty od tej sumy, składki członków, darowizny, dochody z koncertów, widowisk itd. mają wystarczyć na utrzymanie 200 dzieci. Członków podzielono na trzy grupy: 1) założyciele, obowiązani dać albo odrazu 300 rs. albo przez lat 10 po 25; 2) rzeczywiści, którzy winni wnosić po rs. 25 przez lat trzy i 3) ofiarodawcy, płacący po 5 rs. rocznie. Do której kategoryi czytelnicy moi zapisywać się mogą, niech się zapisują. Bo jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że nowa instytucya przybierze taki charakter, jaki wielko-państwo całemu społeczeństwu nadać pragnie, trzeba wszakże chociaż w ten sposób zmywać hańbę i klątwę, spadającą na ogół z ust dzieci ginących pod schodami, w sieniach i kanałach.

Przydałby się także dom zdrowia dla tych, którzy dostali ostrej niedyspozycyi pod wpływem wiadomości, że Brandes, powróciwszy z Warszawy, rozsławia nas w gazetach i z katedry w Kopenhadze. Rzecz dziwna, patryoci nasi, gotowi ucałować w rękę każdego zagranicznego reportera, który pochwali barszcz polski, zbierając po niwie europejskiej najdrobniejsze kłoski obcej ku nam sympatyi, nadto przekonani, że Rogoziński podniósł nas w oczach Europy a Modrzejewska rzuciła Polskę w objęcia Ameryki — ci sami mężowie udają obojętnych a nawet zagniewanych, że znakomity pisarz duński wychwala naszą umysłowość, nasz charakter, naszą energię. *Kuryer warsz.* dostał aż z tego powodu żółtaczki. „Ile przesady (?!) — pisze on — zmieścić się może w jednej kropli atramentu, dowodzi następny ustęp z listu prywatnego Brandesa: „W wielkiej przepełnionej sali hotelu Feniks (w Kopenhadze) miałem o Warszawie odczyt, który przyjęto z zapałem, tak iż po ośmiu dniach jeszcze całe miasto było przejęte entuzyazmem dla was." To jest owa przesada! Zaiste, trzeba mieć bardzo skromne wyobrażenie nietylko o talencie wykładowym Brandesa, ale o naszej wartości narodowej, ażeby uważać za szczyt przesady wiadomość, żeśmy zdołali zająć kopenhagczyków przez *ośm* dni, to jest krócej, niż p. Wisnowska w roli Puka zajmowała *Kuryer* i Warszawę. Co tym naszym oczyszczonym z przesady i oleju kroplom atramentu przeszkadza wysławiający nas Brandes — niepodobna zrozumieć. Jest to jakaś szykana bezcelowa, nieuczciwa, niewdzięczna, jest to złość żmij, dziwnie odbijająca od zapału, z jakim ten dzielny człowiek rzucił się do badania polskiej literatury i wywoływania dla nas przyjaznych między swymi rodakami uczuć. „Miałem tu o was odczyt — pisze on do mnie — sala była tak zatłoczoną, że aż wiele osób ze ścisku omdlało. W piątek będę mówił o Polsce, a wreszcie w uniwersytecie rozpoczynam szereg wykładów o literaturze polskiej w obecnym wieku. Dziś wieczorem zaś opowiem słuchaczom moim o stosunku polaków do Francyi i Napoleona. Czytam teraz biografie Kościuszki." Pytam każdego, komu jakiś chochlik naiwnej zawiści rozumu nie pomieszał, za co można tego Brandesa szczypać i coby on pomyślał, gdyby się o tem dowiedział? Doprawdy niektóre pisma nasze podobne są do owych studzien, z których ludność czerpie, ale których woda po rozbiorze wykazuje tak wiele amoniaku i jego związków, że aż staje się szkodliwą.

Rewizya tych studzien odbywa się obecnie na wielką skalę a każdy rezultat wprawia w zdumienie: jak my dotąd żyliśmy, i stawia zagadkę: jak żyć będziemy. Tak np. p. Wł. Sokołowski, przewodniczący w komisyi sanitarnej cyrkułu VIII, zbadał wodę w 200 blisko posesyach i przekonał się, że „prawie połowa studzien posiada wodę, zawierającą znaczne ilości amoniaku i jego związków." Co lepsze: „na wypadek epidemii studnie takie, według zdania lekarzy, muszą być zamknięte" — i będą zamknięte, ale cóż zrobi ludność bez wody? Podczas cholery w Tulonie jeden ze słynnych lekarzy zalecał suchość, a drugi mokrość; jeden twierdził, że woda zabija „przecinki," a drugi, że je rozmnaża. Otóż nie pozostaje nam nic innego, jak przyjąć teoryę suchości i odrzucić stosowanie wody przeciw bakteryom.

*Poseł Prawdy.*

# NA WIDNOKRĘGU.

Ucieczka zadłużonych ziemian. — Najcięższa próba.— Spadli z etatu gospodarczego. — Oszczędności w budżecie. — Wstrzemięźliwość od czytania. — Upadek prenumeraty pism szlacheckich. — Bunt mężów z powodu święconego. — Kontrakt ze złodziejami. — 60 kopiejkowa marka.

Ziemiański okręt zaczyna tonąć.

Z wielu stron dochodzą nas wiadomości, że obywatele, posiadający majątki obdłużone, poprostu uciekają z nich, zrzekając się dalszej walki z przeciwnościami, które obecny zastój w handlu zbożowym spotęgował do niezwykłej miary. Opuszczone folwarki przechodzą do innych rąk często w trzeciej części swej wartości, za cenę pożyczki Towarzystwa. I przy tych warunkach nabywców brak. Żyd nie widzi w gospodarstwie rolnem interesu i woli kapitały przenosić na inne, zyskowniejsze pole; niemiec boi się niepewności położenia, a „szlachcic" bądź nie ma pieniędzy, bądź nie chce ryzykować.

Daremnie byśmy już dziś z szaleństw i zbytków jednostkowych w tej sferze wyciągali wniosek o jej zasobach materyalnych. Bezwątpienia, lekkomyślnych popędów, nieopatrznych rzutów i wielkopańskich upodobań pozostało tam jeszcze

dużo; ale już bieda wyjrzała ze wszystkich kątów i skłoniła większość do rozwagi. Jak żyje szlachcic polski, nigdy tak się nie kurczył, nie liczył i nie okrawał swych potrzeb. Jest to niewątpliwie najcięższa próba, jaką kiedykolwiek przechodził. Próba ta otwiera dla ziemian naszych nowy okres, zmieni stanowczo naturę tego stanu i jego udział w życiu ogólnem. Ślepi tylko nie widzą, że przed naszemi oczami rozgrywa się wielki proces socyologiczny, który wywrze głęboki wpływ na przyszłość. To nie kłopoty szlacheckie, to nie chwilowa niemożność sprzedania pszenicy lub wyjechania do wód za granicę, ale olbrzymi przewrót ekonomiczny, ruina materyalna najpoważniejszej dotąd klasy narodu, która przez całe niemal nasze życie dziejowe stanowiła, a przynajmniej uważała się za cały naród.

Obok bankructwa właścicieli ziemskich, dość często własną nieopatrznością upadających, odsłania się za nimi nowy zastęp pozbawionych chleba—oficyalistów. Ściśnięty biedą „szlachcic" zmniejsza liczbę swych wyręczycieli i zastępców, usuwa rządcę, nieraz i ekonoma, a cała rzesza tych spadłych z gospodarczego etatu nie znajduje dla siebie w społeczeństwie pracy i daremnie żebrze miłosierdzia od przytulisk wszelakiej upadłości—dróg żelaznych.

I włościanie nie wychodzą z tego przesilenia obronnie. W wielu okolicach nakupili oni ziemi bądź na odrobek, bądź za pieniądze pożyczone. Dziś niejednokrotnie albo odrobić długu, albo go pokryć gotówką nie mogą, i prócz niedostatku muszą jeszcze ze stratą, dobrowolnie lub przymusowo, pozbywać się tej roli, którą nabyli. Jest to fakt dopiero poczynający się i spełniający cicho, po za obrębem uwagi publicznej, nieobliczany statystycznie w całym swym rozmiarze, lecz znany pismom z cząstkowych doniesień — trudno więc jeszcze określić jego wielkość i doniosłość. Że on jednak ukazał się jako zjawisko nowe i znamienne — to nie ulega wątpieniu.

Zubożenie „szlachty" odczuły podobno najdotkliwiej jej organy. Prenumerata pism, obsługujących tę sferę, spadła niezwykle. Jest to objaw charakterystyczny w tej klasie społecznej, dla której dziennik nie stał się jeszcze potrzebą konieczną. Niemiec, francuz, anglik ograniczy się w innych wydatkach—sprawi sobie lub swej żonie mniej jedną suknię, wypije o kilka butelek mniej wina, obniży koszt towarzyskiego przyjęcia itp.—u nas redukcya budżetu domowego zaczyna się od literatury. Gdy kieszeń schudnie, zanim przyjdzie kolej na odzież, wino, baliki itd., przedewszystkiem za drzwi książka i gazeta, bo to nie potrzeba, ale najpierwszy zbytek! Nagły upadek abonamentu kilku dzienników, niewytłomaczony ani zwykłem jego wahaniem się, ani zmianą redakcyi tych pism, ma swoje źródło w tej oszczędności o tyle niedorzecznej, o ile szkodliwej: niedorzecznej — bo parę rubli na kwartał nie może obciążyć budżetu właściciela kilkunastu włók, szkodliwej—bo zerwawszy stosunek z szerszym światem, który dziś tak potężnie oddziaływa na jego losy, traci on bardzo ważną bussolę, która mu nieraz wskaże kierunek właściwy. Za granicą biedna przekupka czyta jakiś dzienniczek lub tygodnik, u nas „obywatele" obywają się bez gazet. Niemiecka straganiarka nie uwierzyłaby temu, ale wierzą nasi wydawcy organów „większej własności."

Zresztą, co tu mówić o pismach, które u większości naszego społeczeństwa nie należały nigdy do niezbędnych artykułów spożywczych; jak dalece bieda włazi wszystkim za skórę, dość przytoczyć „sensacyjną" wiadomość *Kur. warszawskiego*, że w Białej „małżonkowie wypowiedzieli posłuszeństwo żonom i odmówili dawania pieniędzy na... święcone." Odmówić sobie gazety, żałować kilku złotych na kupienie *Pana Tadeusza* „z powodu Dykasa"—to jeszcze pojmujemy; ale wyrzec się święconego—to nawet żebrakowi w Polsce wyda się niezrozumiałem. Są u nas ludzie, podobno najliczniejsi, którzy sądzą, że gdyby nie mogli obstawić stołu na Wielkanoc babami i mięsami, należeliby do najnieszczęśliwszych tego świata, niemiłosierniej udręczonych przez los, niż Prometeusz, Tantal, Laokoon, Ugolino, Żyd wieczny tułacz i wszyscy męczennicy legendowi.

Tylko złodzieje, te ptaszki, które nie sieją, nie orzą, a opływają w dostatkach, tylko oni nie potrzebują dziś chyba skarżyć się. Im jednym jest dobrze! Nietylko ściągają haracze w domach, na ulicach i gościńcach, ale zaczynają regulować swoje stosunki ze społeczeństwem prawnie. Włościanie wsi Moszczanka nad Wieprzem—jak donosi *Gazeta warsz.*—„weszli w formalną umowę z trapiącymi ich na mieniu złodziejami i zobowiązali się przez ciąg zimy trzem z nich, pochodzącym z tej wsi, dawać kolejno życie," w zamian zaś opryszki przyrzekli ich nie okradać. Tak więc mamy nową postać kontraktu, która jest najwierniejszym wyrazem stanu moralnego. Pomysł to nie przyniesiony z obczyzny, nie „zaraza z Zachodu," ale nasz własny, swojski, na naszych obyczajach, kiedyś tak słynnych z czystości, wyrosły. A tak on nas znajduje zobojętniałych, że śmiejemy się, lub bez głębokiego wstrętu mijamy odnośną wiadomość w pismach, zamiast, jakby należało, uczuć wstyd i odrazę. Rzezimieszkowie to dostarczyciele naszego humoru, ich zbrodnie bawią nas jak figle psotników.

Dla zabezpieczenia właścicieli koni i bydła od kradzieży, władze administracyjne poleciły, ażeby na targach i jarmarkach sprzedawano tylko sztuki, opatrzone świadectwami pochodzenia, w których wymienione być ma nietylko imię, nazwisko, oraz miejsce zamieszkania posiadacza, ale także rysopis bydlęcia lub konia. Może ten środek byłby choć w części skutecznym, gdyby nie 60 kopiejkowa marka, którą wójci gmin zaczęli przykładać na tego rodzaju dowodach. Niesprzedana odrazu i kilkakrotnie na targ zaprowadzona krowa z nowemi świadectwami (jak przepis wymaga) pociąga dla włościanina wydatek zbyt ciężki, którego często pozwalać sobie nie można. To też ruch sprzedażny na ostatnich jarmarkach był bardzo mały, i jeżeli on nie ma osłabnąć, albo jeśli przepis nie ma być łamanym, musi 60 kopiejkowa marka ustąpić.

Słowem, wszystkie sposoby przeciwko złodziejom nie udają się: ani zamki, ani stróże nocni, ani psy, ani świadectwa. Tym „figlarzom" przyświeca jakaś szczęśliwa gwiazda. Niech śmieje się z tych kaprysów losu—kto może.

*A. C.*

---

## ROSYANIE PRZED HERATEM.

Czytelnicy gazet a nawet nieraz i sprawozdawcy... polityczni pozornie tylko rozumieją, o jaką to zdobycz w Azyi idzie dwu lwom tak dalece, że oba ciągle biją się ogonami po bokach i jeżą na siebie wzajemnie grzywy. Ażeby przedmiot sporu dokładnie pojąć, trzeba zajrzeć do jednego z wielu dzieł, które on zrodził, a przedewszystkiem do książki K. Marvina: *The Russians at the Ghates of Herat.* Autor, używający dziś wielkiej powagi w sprawach środkowo-azyatyckich, szczególnym sposobem wydobył się na wierzch. Gdy hr. Salisbury przed kongresem berlińskim po za plecami dyplomacyi zawarł tajemny znany układ z hr. Szuwałowem, umowa ta, zanim ją jeszcze podpisano, ukazała się dosłownie w dzienniku *Globe.* Marvin, obdarzony nadzwyczajną pamięcią, po skopiowaniu w ministeryum spraw zagranicznych, zakomunikował ją redakcyi całkowicie. Wychowany w Rosyi, obznajmiony wybornie ze stosunkami angielskimi, rzucił się namiętnie do badania spraw azyatyckich, o których wydał kilkanaście książek i przeszło sto map.

I on uważa Herat za klucz do Indyi. Szczególną wartość strategiczną nadaje temu miastu bogactwo kraju. Stotysięczna armia może tam zaopatrzyć się w żywność; jest to najwyborniejsze obozowisko. Na północy Heratu ciągnie się łańcuch gór Paropamisus, który angielscy i rosyjscy politycy uważali za osłonę miasta. Bo cóż mogłoby być dla afgańczyków potężniejszym środkiem obrony, nad posiadanie przejść między wyżynami, których szczyty uważano za 15 do 20,000 stóp wysokie! Złudzenie to rozproszył ów właśnie Lessar, którego p. Giers posłał do pomocy ambasadorowi rosyjskiemu w Londynie. Paropamisus przecinają liczne drogi, których afganistańczycy utrzymać nie zdołają.

Główny punkt ciężkości sporu pada na Badgheis, który anglicy uważają za część Heratu, rosyanie zaś za odłam turkomanów, gdyż dwa ich plemiona zamieszkują okolice tego terytoryum.

Już w poprzedniem dziele: *Merw królowa świata* Marvin przepowiedział, że Rosya po zdobyciu Merwu niewątpliwie rozciągnie swe granice aż do stóp Paropamisu i zajmie Pendżeh. W Londynie nie wierzono tym wróżbom, a nawet mężowie stanu śmieli się z „zapalonej głowy" proroka. Przeceniali oni siłę odporną turkomanów i lekceważyli potęgę wojenną Rosyi. Autor utrzymuje, że ona posuwa się ku Indyom, ażeby zawładnąć... Konstantynopolem. Rosya — według niego — nie kryje się z zamiarem wtargnięcia kiedyś do stolicy tureckiej. Największą jej nieprzyjaciółką jest Anglia. Dyplomacya rosyjska miała tylko jedną nadzieję: że zgodę Anglii można będzie w ostatniej chwili kupić za pozwolenie zajęcia Egiptu. Tymczasem gabinet angielski opanował ten kraj, nie pytając dyplomacyi rosyjskiej. Naturalnie Gladstone usiłował ten zabór przedstawić jako czasowy; rosyjscy politycy wszakże dostrzegli tajemny plan i wyciągnęli korzyści z błędów przeciwnika.

Taka jest osnowa rozumowań Marvina. Książka jego zawiera bardzo wiele ciekawych szczegółów, których tu powtarzać nie możemy, a które oświetlają otwartą ranę Azyi środkowej. Z rany tej, jeśli nie teraz, to niedługo krew popłynie.

---

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Warszawa, d. 9 kwietnia.*

Zatarg rosyjsko-angielski przypomina porę wiosenną, w której się toczy: dziś pogoda, jutro śnieg lub deszcz z grzmotami. Ledwie przez święta wytrzymał nastrój pokojowy — i oto znowu telegraf przynosi alarmy wojenne. Prasa angielska bije w ton groźny, a rosyjska odpowiada jej podobnie. „Pojednawcze usposobienia Rosyi, wyrażone w odpowiedzi (którą początkowo ogłoszono za łagodną), niewięcej są warte od papieru, na którym zostały napisane. Wymijający i zaczepny ton noty rosyjskiej zmusza Anglię do szybkiego uzupełnienia uzbrojeń. W tymże duchu odzywają się inne dzienniki, a poseł rosyjski w Londynie doniósł p. Giersowi, iż „rząd angielski nie uważa wcale, aby od-

powiedź rosyjska przedstawiała jakąkolwiek podstawę do ugody." Admiralicya i ministeryum wojny wydały rozkaz niezwłocznego uzbrojenia rozporządzalnych sił lądowych i morskich, a skutkiem tego w warsztatach panuje ruch niezwykły. Spotkanie się wice-króla Indyi z emirem Afganistanu w Raval Pindi, wspólna ich uczta, toasty itd. uważane są za znaki nadciągającej burzy wojennej.

W Egipcie anglicy nieco odetchnęli. Pobity Osman Digma podobno ofiarował im swoją uległość, a Mahdi, osłabiony rozterkami w własnej armii, nie grozi już, jak przedtem, John Bullowi. W Aleksandryi schwytano i odwieziono na Gibraltar niejakiego Zebera baszę, który miał przyczynić się do upadku Chartumu i śmierci Gordona. Jego służący przekradał się podobno tajemnie do Mahdiego i uwiadamiał go o ruchach wojsk angielskich.

Po upadku Ferrego we Francyi utrzymuje się uparcie pogłoska, że pomimo zwycięztwa Chiny przystały na pokój i dziś jeszcze gotowe są go podpisać. Czy to jest kaczka, puszczona przez strąconego sromotnie ministra, który, niestety, kłamstwem w swych działaniach posługiwał się zbyt często, czy też prawda — rzec trudno. Tymczasem Izba zagłosowała 150 milionów franków na dalsze prowadzenie wyprawy, a nowy prezes gabinetu Brisson zapowiedział w niej energię swego rządu. Obok tego surowego i radykalnego republikanina, który wziął tekę sprawiedliwości, stanęli w świeżym gabinecie: Freycinet — sprawy zagraniczne, Allain-Targé — wewnętrzne, Campenon — wojna, Sadi Carnot — roboty publiczne, Clamageran — skarb, Legrand — rolnictwo, Erió Manun — handel, Goblet — oświata, Sarior — poczty i telegrafy, Gallibert — marynarka.

We Włoszech schwytano proklamacyę republikańską i szeroko rozgałęziony spisek. W okolicach Mantui objawił się ruch chłopski; dla stłumienia go wysłano wojsko.

---

**Petersburg.** Gen Komarow donosi, że 30 marca zaatakował na rzekę Kuszk oddział afgański, liczący 4,000 ludzi, który rozbił, zabrawszy artyleryę, sztandary i zapasy oraz położywszy trupem 500 nieprzyjaciela. Gladstone oświadczył w Izbie, że atak ten był prawdopodobnie ,,nieobmyślaną improwizacyą."

# CUDZE GŁOSY.

## PRASA ROSYJSKA.

**Gołos Moskwy** podaje szczegóły o biskupie Hryniewieckim.

„Były biskup wileński zajmuje w Jarosławiu szczupłe mieszkanie i żyje skromnie. Za przybyciem do miasta przedstawił się gubernatorowi, archijerejowi, policmajstrowi i zwierzchności żandarmskiej. Archijerej złożył rewizytę. Po tych urzędowych odwiedzinach biskup Hryniewiecki nigdzie zgoła nie bywa; okna mieszkania jego prawie zawsze zasłonięte. Przybyły z nim kapelan odprawia nabożeństwo w kaplicy rzymsko-katolickiej. Biskup wygląda wcale nie na starego mężczyznę; jest mizerny, wysoki, ma oczy wyraziste, nieco z pod czoła wzrok rzucające. Posiada wiele języków, ogromnie jest oczytany i odznacza się darem wymowy. Mieszkający w Jarosławiu katolicy wielkie współczucie okazują biskupowi byłemu wileńskiemu. Czy pozostanie on w Jarosławiu, czy też przeniesiony będzie do Wołogdy, jest to kwestya, dotąd nierozstrzygnięta."

**Nowoje Wremia** pisze:

„Klerykalna gazeta *Czas*, roztrząsając wiadomość o formalnym proteście kuryi rzymskiej przeciwko zesłaniu Hryniewieckiego i Harasimowicza, oraz przeciwko jakoby naruszeniu praw kościoła katolickiego—wspomina, iż Leon XIII pisał osobiście w tym przedmiocie do Petersburga zaraz po wysłaniu biskupa wileńskiego, lecz że odpowiedź na ów list niewiadoma, chociaż o jego treści świat katolicki mógł poinformować się z artykułów brukselskiej gazety *Nord*.

Nie przeciw tej ostatniej gazecie wystosowane są zresztą gromy krakowskiego organu klerykalnego, który udaje, iż nie wierzy, aby zesłanie biskupa wywołane zostało czysto osobistemi pobudkami, a uparcie dopatruje w tej sprawie chęci naruszenia zgody z Rzymem, co też i spowodować miało formalny protest ze strony św. kongregacyi. „Lecz nie zdołał dojść do Petersburga ów protest—pisze dalej *Czas*—gdy rozeszła się wiadomość o zesłaniu innego administratora dyecezyi wileńskiej, księdza Majewskiego, który objął poruczoną mu przez księdza Harasimowicza władzę."

Następnie idą doniesienia, iż ów drugi prałat wileński zesłany został do Wołogdy, i wniosek, iż biskupa i dwóch prałatów wileńskich wywożą „do kraju ludów," gdzie rozpoczyna się już bałwochwalstwo, bo mieszkańcy jego należą do resztek typów pierwotnych pogan w Europie.

Czy prawdziwem jest powtórne zdanie rządów dyecezyi wileńskiej po Harasimowiczu Majewskiemu, z powodu, iż kapituła odmówiła prawidłowego wyboru administratora dyecezyi?—pozostawiamy to już na odpowiedzialność gazety krakowskiej. W każdym razie i ten fakt jest bez pożytku dla sprawy „czarnej armii" i wykazuje tylko daremny upór.

Lecz o ile prawdziwemi są wiadomości o „lodowych i bałwochwalczych" stronach w rodzaju Jarosławia, Wołogdy lub chociażby Welska, o tyle ciekawymi są domysły *Czasu*, iż w zesłaniu wspomnionych kanoników wykazuje się rosnąca władza gazet rosyjskich i t. d.

Rosya widziała protesty o wiele groźniejsze również w sprawie polskiej i nie zwróciła na nie uwagi. Życzyćby tylko należało, ażeby dyecezya katolicka wileńska doszła wreszcie do tego spokoju, którego oddawna prtrzebuje i z którekorzystała do czasu ugody z Rzymem — ażeby dyecezya ta otrzymała organizacyę normalną i ostateczną."

---

# KRONIKA BIEŻĄCA.

**Kanalizacya.** Przyzwolenie na dalszy rozwój robót kanalizacyjnych ministeryum czyni zależnem od wynalezienia pod Warszawą pól, na które spływać będzie woda kanałowa. Wpuszczaniu jej do Wisły ministeryum sprzeciwia się stanowczo.

**Sądy.** Izba sądowa roztrząsała sprawę urzędników powiatu rypińskiego, oskarżonych o nieprawe ściąganie od gmin pieniędzy na rekrutów; naczelnika powiatu Pietkiewicza skazała na wydalenie ze służby, Kruszyńskiego zaś naczelnika straży ziemskiej i Nadratowskiego referenta—uwolniła.

**P. Bloch** zgodził się nadal piastować godność prezesa komitetu giełdowego przy pomocy p. M. Epsteina.

**P. Józef Sporny** wypowie dwa odczyty o kanalizacyi i wodociągach.

**Taksa adwokacka** ma być ponownie uregulowaną. Na wezwanie ministra sprawiedliwości i warszawski sąd okręgowy zwołał komisyę do wypracowania wniosków.

**Ściąganie podatków.** W powiecie syzrańskim, guberni Symbirskiej—jak donosi *Now. Wremia*—pewien obywatel najął włościan ze wsi sąsiedniej do młocki. W piątek wieczorem przyszli do niego robotnicy z prośbą, ażeby uwolnił ich na sobotę od zajęcia, gdyż muszą być w tym dniu smagani. Nie uwierzył temu obywatel, ale włościan uwolnił. W piątek następny to samo się powtórzyło. W poniedziałek zamiast jednego z młodych robotników przyszedł ojciec jego i zaczął prosić obywatela, ażeby był łaskaw dowiedzieć się, za co w każdą sobotę wszyscy ćwiczeni są rózgami, kiedy żadnych niedoborów we wsi nie ma, bo ta najregularniej wszystkie opłaty uiszcza. Cóż się w końcu okazało? Oto zarząd wiejski za pośrednictwem cosobotnich rózeg ściągnął już od włościan sumę wykupową na rok 1886 i 1887. Oczywiście, zarząd wiejski, wymęczywszy pieniądze przed terminem, obracał nimi.

**Kobietom** dozwolono na kolejach rosyjskich pełnić obowiązki w kantorach zarządu i administracyi, w kasach, telegrafie, buchalteryi itd.

**Tyfus** głodowy pojawił się w 16 powiatach a 34 gminach Galicyi.

**Pod Cuxhaven** rozbił się parowiec angielski „Cumberland," którego załoga w znacznej części utonęła, a z nią niejaki Drumliński, z Płockiego, który cierpiał na podróżomanię i kilka razy świat objechał.

**Papież**, zapewne pod wpływem uprzedzających jego wyrok zdziwień i żartów, odmówił pozwolenia na małżeństwo bar. Poppera starozakonnego z hr. Castrone nowozakonną.

**Estudiantina espagnola**, grono jakoby studentów hiszpańskich, wędrujących ze swą muzyką i śpiewami po Europie, przybyło do Warszawy. W studenctwo tej trupy, której członkowie dobiegają już lat 30 i włóczą się od lat kilku, uwierzyć nam trudno.

**Piękny order.** Astronom wiedeński, odkrywca wielu planet, ogłasza, że ostatniej z nich nada imię tego, kto mu ofiaruje 1250 franków na dalsze badania naukowe. Znalazło się tylu już głupich na świecie, którzy płacili więcej za rozmaite ordery perskie, meksykańskie, papieskie itd., może więc znajdzie się ktoś, co kupi sobie piękną gwiazdę i uwieczni swe imię nie w spisach znaczków ziemskich, ale w przestworzach niebieskich.

**Nordenskjöld** miał w szwedzkiem Towarzystwie antropologicznem ciekawy odczyt o eskimosach (w Grenlandyi). Wszyscy oni—według niego—umieją czytać i pisać. Nie posiadają żadnego rządu, policyi, nie znają zbrodni. Wszędzie panuje uczciwość, o której Nordenskjöld przekonywał się wielokrotnie. Często pozostawiał bez straży namioty i łodzie, napełnione przedmiotami, szczególnie przez eskimosów pożądanymi, i nigdy nic mu nie zginęło.

To trochę inaczej niż u nas, gdzie w samej Warszawie spełnia się za pół miliona rubli kradzieży meldowanych. Trudno się dziwić, że eskimosi „układają satyry na europejczyków."

Nordenskjöld postawił śmiałą hipotezę, że oni są tuziemcami krajów biegunowych i że bezpośrednio pochodzą od ludzi okresu lodowego.

**Mommsen** wydał piąty tom swej *Historyi rzymskiej;* Czwarty wyjdzie później.

**Cło od drzewa**, świeżo uchwalone w Niemczech a bezpośrednio na nas oddziaływające, wynosi od 30 fenigów do 5 marek za 100 kilogram—zależnie od postaci, w jakiej będzie przywożone.

**Obieg** pięcio i dziesięciogroszowej monety polskiej po za granicami Królestwa (zwłaszcza w prowincyach nadbałtyckich i zachodnich) został wzbroniony.

**Wielkie msze**, przy udziale chórów, orkiestry i stowarzyszeń artystycznych, odbywają się w kościele paryskim Nôtre Dame w ciągu postu. Korespondent *Kur. warsz.* donosi zdziwiony, że podczas jednej z takich mszy widział słuchaczów z nakrytemi głowami, czytających gazety, rozmawiających głośno itd. Wszystko się zmienia.

**Bibliografia polska.** Alfred Nossig *Tragedya myśli*, poemat dramatyczny. Lwów 1885, Utwór ten wydany niedawno, został przez lwowską prokuratoryę zaraz po ukazaniu się skonfiskowany. Postaramy się wkrótce dać o niem obszerniejszą wzmiankę, gdyż jak nam donoszą ze Lwowa, zasługuje na to.

**Muzyka.** Operetkę w 3 aktach p. t. *Senator małego miasteczka* skomponował p. Karol Krotochwila w Stanisławowie.

**Katalog** British Museum w Londynie zaczął wychodzić tomami. Praca ta wielkiej wartości dla nauki, ma być ukończoną w r. 1900 i będzie obejmowała 60 tomów w ósemce. Naczelną redakcyę katalogu, zestawionego przez osobną komisyę bibliograficzną, objął Mr. Bullen.

**Akademia umiejętności.** Dnia 20 marca odbyło się posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodn. Pan Antoni Cielecki, zegarmistrz w Szczercowie (gub. Piotrkowska) nadesłał prośbę, ażeby akademia oceniła praktyczność jego pomysłu co do urządzenia machiny latającej w powietrzu. Zarazem oznajmił, że przesyła za pośrednictwem p. Wacława Szczytnickiego model tego przyrządu, chociaż nie zupełnie dokładny, jednak po nakręceniu wznoszący się w powietrzu. Gdy

jednak modelu tego akademia dotychczas nie otrzymała, musiano sprawę odroczyć.

Następnie odczytano i złożono do aktów wydziału list, nadesłany od p. Henryka Sandeckiego z Kutaisu, z jego spostrzeżeniami, które poczynił nad kometami w r. 1881. Przyjęto i odesłano do komitetu redakcyjnego prace: K. Obrębowicza p. t. *O wytrzymałości prętów na wyboczenie*, dr. J. Szyszyłowicza p. t. *Lipowate*, monografia rodzajów. Część II; prof. dr. Olszewskiego p. t. *Skroplenie i zestalenie gazu bagiennego i tlenku węgla.*

**Pismo** nowe tygodniowe p. t. *Kuryer świąteczny* zaczęło wychodzić w Krakowie. Redaktorem odpowiedzialnym jest p. Jan Gadowski, wydawcą J. K. Zieliński, b. wydawca *Dziennika powieści*. Redakcya zapowiada, że „pragnie zachować stanowisko niezależne od wszelkich stronnictw i starać się będzie jedynie (?) o poczytność."

**Na katedrę** fizyologii w uniwersytecie jagielońskim, opróżnioną po prof. Piotrowskim, powołano dr. Cybulskiego, prosektora akademii medyko-chirurgicznej w Petersburgu—tak donosi *Reforma*.

**Tanie mieszkania.** Miasto Paryż postanowiło oddać przedsiębiorcom znaczne grunta pod budowę, prawie za darmo, pod warunkiem wybudowania na nich domów o tanich mieszkaniach, z cenami z góry oznaczonemi. I tak 1 pokój z kuchnią (20 metrów kw.) ma kosztować rocznie 150 franków, 2 pokoje z kuchnią i piwnicą (30 metrów kw.) 225 fr., 3 pokoje z kuchnią i piwnicą (40 m. kw.) 300 fr. Dalsze kombinacye mieszkań obliczone będą w stosunku 7 fr. 50 cent. za metr kw. na rok. Próba tą ma okazać, czy dostarczenie tanich placów wystarczy do obniżenia ceny mieszkań, w przeciwnym razie zrobioną będzie inna próba przez dostarczenie taniego kredytu na 65 lat.

**Pocztowe Kasy** oszczędności w Austryi okazały się w krótkim czasie swego istnienia tak dalece użytecznemi, że rząd, ze względu na wielki zakres działania tej instytucyi, zamierza je zamienić na powszechną państwową kasę oszczędności.

**Produkcya sera.** Wartość wyrobu różnego gatunku serów w Szwajcaryi wynosi 62 miliony franków. W 1884 r. wywieziono sera szwajcarskiego do Francyi 143,000, do Niemiec 69,000, do Włoch 56,000 i do Rosyi 84,000 centnarów.

**Zmarli.** Leonard Rettel, przedostatni z t. z. Belwederczyków. w Paryżu.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Wszystkich* abonentów naszych, którzy prenumerują *Prawdę* od nowego roku i chcą nabyć pierwsze dwa zeszyty *Ekonomii politycznej*, uwiadamiamy, że zeszyty te z przesyłką pocztową kosztują kop. 94.

*P. p. J. Barszcz. i K. Horod.* Nr. 13 wysłaliśmy.

*P. Szym.* Otrzymał Pan dodatek za ten kwartał, w którym Pan u nas *Prawdę* prenumeruje. Cena dwu poprzednich zeszytów zniżona dla abonentów do kop. 94 z przesyłką pocztową.

*Stałemu prenumeratorowi.* Uwaga pańska, że *Czehryn* niepotrzebnie nazwano *Czygirynem*, *Chełmno* zaś *Kulmem*, jest słuszna; nie możemy natomiast zgodzić się ani na to, że wyrażenie: *„rozpatrywać* sprawę" jest niepolskiem, ani na to, że *Prawda* używa tego wyrażenia „stale." Co do pierwszego należałoby również wyrzucić z języka: pogląd, zapatrywanie itp.; co do drugiego możemy Panu wskazać dziesiątki miejsc, w których użyliśmy: rozpoznawać.

*Stałej czytelniczce.* „La femme d'apres Schopenhauer" w piśmie *Revue Nouvelle.*

## OFIARY.

*Dla studentek w Petersburgu.* A. Harusiewicz z Łomży rs. 1, X. Y. z Płocka rs. 6 kop. 50.



**Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.**

**Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.**

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Марта 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**